ŚWIĘTA WIOSNY I ŻYCIA

CZESŁAW CIEPLIŃSKI.

ŚWIĘTA WIOSNY I ŻYCIA

CZESŁAW CIEPLIŃSKI.

WARSZAWA
1916.

NAKŁADEM AUTORA.

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseverwaltung / / / / / Warschau, 7/XII. 1916. T.-N. 3756. Dr. N. 73. / / / / /
Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.

Źródłem, z którego wszystko wychodzi i wraca,
Jak wracają w dżżach krople, z słonecznej podróży
Po lazurowem niebie, w morze, które praca
Wieczna wstrząsa, przewala i do głębin burzy, —
Jest wieczysty ocean, w którym trwają światy, —
Wieczny i nieskończony — złote słońc, gwiazd morze,
Wiecznie zmienne, te same wciąż mający szaty, — —
W nim światów roje płyną przez nocy bezdroże,
W nim, w nieskończonej nigdy wieczności godzinie,
W przestrzeni pozbawionej granicy i kresu
Coraz nowa się pali, coraz nowa ginie,
Gasnąc, gwiazda, czy słońce, w ciemnościach bezkresu, —
Powracająca kropla w głębie oceanu,
Płonąca złotym ogniem w godzinie wieczności,
Jak purpurowe kwiaty wśród złotego łanu
I jak one gasnąca, — trwa w nieskończoności
Bez granic i bez kresu, pozbawionej końca,
Niemającej początku, która wiecznie stwarza
Siebie samą, płonącą w złotym blasku słońca,
Czy też w gwiaździstej nocy, — — choć się przeobraża
Wiecznie, zostaje wiecznie jedną i bez zmiany, — —
W niej, w wieczystem zmaganiu kłębią wieczne siły
Pochłaniające wszystko nocy oceany,
W których się palą słońca i złote gwiazd bryły, —
Jak kropel wody w morzu, rój świateł przemnogi, — —
W których powstają światów nieznane mgławice
J nieskończone, białe płoną mleczne drogi, —
Gdzie meteorów w przepaść złote błyskawice
Lecące gasną nagle w czarnym oceanie,
A wśród światów dalekich płonie wieczne życie,
Nieznanych mórz dalekich nie ustaje łkanie,
A fal uderzających w skały brzegów bicie
Znaczy czasu płynące w wieczności godziny, —
W promieniach słońc nieznanych, nieznajome drzewa
Kwitną nieznanym kwiatem, ponad przestwór siny
Mórz, który fal poszumem swój wieczny hymn śpiewa, —
W drżącem powietrzu płoną dni upalnych znoje
J w nieruchomej ciszy trwa milczenie śniegów, — —
Nieznanych światów krążą po swych drogach roje, —
W oceanie ciemności, pozbawionym brzegów,
Który wszystko pochłania, który wszystko rodzi,

Z którego wszystko wstaje, w który wszystko wraca,
Który trwa wiecznie w światów, — gwiazd i słońc powodzi,
Którego głębie wieczna wiecznie wstrząsa praca...

Stworzyciel jedno jest ze swym stworzeniem —
Wszechświat się wieczny nieskończenie stwarza —
Jak jednem drzewo jest ze swym korzeniem,
Tak jednem niebo i ziemia, — pomnaża,
Czyli umniejsza wielość swej postaci,
Choć nigdy więcej żadna z nich nie wraca, —
Jak liść pożółkły, gdy zieloność straci,
Ten sam na wiosnę nigdy nie powraca, —
Jak nie wracają zorze purpurowe
Nigdy te same, w niebios seledyny,
Jedyne zawsze i wieczyście nowe, — —
Wszechświat zostaje wieczyście jedyny,
Ten sam wieczyście, jeden w swym ogromie
I w swej istocie, — w orkanie, czy w głuszy,
W słonecznej ciszy, w wichurach i gromie,
W głazie przydrożnym i człowieka duszy
Jeden jest wszechświat, — — jak niemasz różnicy
W słońcu i jego złocistych promieniach,
W gronach i wiosną kwitnącej winnicy, —
Niemasz różnicy w kwiatach i kamieniach, —
Jednem jest ziemia i potężne drzewo,
Które konary swe topi aż w niebie
Złotobłękitnym, i liście ulewą
Lecące z niego, gdy je wiatr kolebie —
Jednym jest wszechświat, wieczny, nieskończony, —
Jednym i wiecznie jednym pozostanie
W słońcach odległych, gwiazdach zawieszonych
W nieskończoności, — jednym w wiecznej zmianie,
Która wciąż skupia, tworzy i rozprasza
Wieczyste życie, wieczysta, jak ono, —
Wieczna, jak wszechświat, — z niej wstaje śmierć nasza
I narodziny, — żadna powtórzoną
Nie wraca postać, — każda jest jedyną
Na dziś i zawsze, wśród nieskończoności
Braci i sióstr swych, które płyną, płyną,
Jako promienie złocistej światłości,
Wieczyście inne, z złotych źródeł słońca,
Aby nie wrócić nigdy, rozproszone,
Stawszy się barwą kwiatu, lub gorąca
Błękitną falą rozdrgawszy powietrze, —
Wszechświat jest jednem, — barwy, światła, wonie

Dźwięki i kształty, — pieśń, która po wietrze
Płynie, — tem samem są w wszechświata łonie.

Wszystko jest jednem: ziemia, która płynie
Razem ze słońcem i dokoła słońca,
Ten, co zwycięża i ten, który ginie,
Liście szumiące i wiatr, co je trąca —
Wszystko jest jednem — gwiazdy, które płoną
I pył, co przylgnął do nogi pielgrzyma,
Morze i rzeki, które w morzu toną,
Wieczność i chwila, której nic nie wstrzyma,
Ogień i woda, i wszystkie żywioły —
Wszystko i wszystko jest jednem, i będzie,
Było niem zawsze — kwiaty, woń ich, pszczoły
Miód zbierające, człowiek — wszystko — wszędzie — —
Jednem jest wszystko — smutkiem, czy radością, —
Wiecznością wszystko i nieskończonością...

Jak chwile, — krople czasu w wieczność padające,
Mijają, — jedna w drugą z kolei przechodzą,
A są jedną wiecznością, — tak przemijające
Istnienia, — jedność życia, — jedne drugie rodzą,
Przechodząc jedne w drugie i, jak krople czasu,
Rozpłynięte w wieczności, znikające chwile, —
Zlewają się z wszechżyciem, — niby drzewa lasu
Padające: z nich wstają w nowej życia sile
Rośliny, kwiaty, — z prochów wstają nowe drzewa.
Nowe krzewy i zioła i znów tworzą nowe,
Wieczyście młode życie, co w słońcu dojrzewa
W kwiaty, czy drzewo dębu, co zieloną głowę
Niesie w daleki błękit; — ziarno jest rośliną,
A było kiedyś kwiatem, — jutro da owoce,
Te znów powstaną z kwiatów, narodzin godziną, —
Roślina kiedyś życia w niej skupione moce,
Ginąc, znów odda życiu, a przeto nie zginie
W nieistniejącej śmierci zimnym kraju cienia, —
Chwila śmierci się równa narodzin godzinie,
Która w nowe istnienie, coraz inne zmienia...
Jak chwile, — krople czasu, padają bez zmiany
W oceany wieczności, a czas nie przystaje
Ani na jedną chwilę, — w życia oceany
Zapadają istnienia, — i jak czas nie staje,
Tak nie ustają nigdy śmierć i narodziny
I nie ustaje nigdy wieczna życia zmiana, —
Miara czasów płynących, — wieczystej godziny
Dni i nocy przemiennych, wieczory i rana
Mieszcząca w sobie, — ona, która rodzi życie
Pozostające jednem od swego początku,
Choć dziś jest ziarnem, jutro zaś kwiatem w rozkwicie,
Zmienne w przemiennych czasów dni i nocy wątku...

Życie, jak morze, co się z kropel składa
Drobnych i wiecznie znikającej fali —
Całe, ogromne w blasku dnia się pali
I jedną pieśnią w błękit niebios pada, —
Pieśń jego śpiewa własną moc i chwałę
Nieogarnioną, wspaniałą, — olbrzymie
Śpiewa swe własne, nienazwane imię, —
Kłębi się w słońcu i szumi wspaniałe,
I przelewając swe wody bez końca,
Szumem swym śpiewa pieśń wiecznej harmonii
I własną mocą pyszni się i płoni,
W jasnym dnia źródle, złotym ogniu słońca...

Wiecznie się staje życie i wieczna przemiana
Jednej postaci w drugą, — przez nią się odmładza,
Z niej czerpie wieczną młodość nieśmiertelne życie —
W coraz inne naczynie ta sama treść wlana, —
To samo, — a wciąż innem czyni go jej władza:
Jest drzewem, będzie ziołem, albo kłosem w życie,
Pełnym złotego ziarna, — dzisiaj białe jagnię,
Jutro się stanie łupem królewskiego ptaka —
Orła, — lub lwa złotego stanie się ofiarą, —
Żyć będzie lwem, lub orłem, lub gałęzie nagnie
Do słońca, jako drzewo, — życia treść jednaka
Wiecznie zmienną ma postać, — coraz innym czarom
Dany jest ogień życia, — wieczną jest przemiana
I wiecznem sił wieczystych wieczyste zmaganie, —
Słabe staje się silnem, a młodem zgrzybiałe,
Zwyciężony zwycięzcą, — nigdy nieprzerwana
Walka jest wieczną treścią zawartą w przemianie
Tego samego życia, które swem wspaniałem
Bogactwem się przelewa, — wciąż w innej postaci,
Niby płomię pożarów, którym puszcza płonie,
W strasznych podmuchach wichrów, — wiecznie zmienne płomię,
Podsycając się samo, sił swoich nie traci,
Wieczne życie ma w swoim niestygnącym łonie, —
Gdy wygaśnie w dolinie, kwitnie na gór złomie, —
Wraca, znowu doliny zielenią zalewa
I ogarnia płaszczyzny, przepaści i szczyty,
U stóp lodowców kwitnie pysznym w słońcu kwiatem
I szumi konarami wyniosłego drzewa, — —
Złotym poszumem, z ziemi, płynie aż w błękity,
W przemianie wiecznej — jedno: życiem i wszechświatem...

Nad bezgłośnie płynące w otchłanie wieczności,
Niszczące ślepych czasów przemożne potęgi,
Możniejsze wiecznie młode, w szatach zieloności,
Zwycięskie życie toczy wciąż te same kręgi —
Czyli czasy przynoszą z sobą klęskę zimy,
Czy dni posuchy białe od pożaru słońca,
Czy wiodą huraganów walczące olbrzymy, —
Życia trwa wiecznie młoda potęga kwitnąca —
Przeminą klęski zimy i czasy posuchy
Palące żarem słońca, — i burz huragany
Nie zetrą go swą stopą... czas ślepy i głuchy,
Niosący słońce wiosny i sine tumany
Jesieni, niewzruszony, bezgłośnemi kroki
Idący nieznurzenie, zapada się stale
W wieczności nieskończone, głuche, czarne mroki,
W których się palą światy i słońca w swej chwale, —
Zaś życie trwa, niezmiennie na nowo wstające
Z pod klęsk, pyszniejsze jeszcze w wiecznie młodej mocy,
Kochającej wiatr ciepły, błękit wody, słońce...
Nieśmiertelny, jak życie, czas w wieczności nocy
Czarnej wiecznie umiera, przez zwycięskie życie
Zwyciężany, — jest sługą, nie zaś życia panem, —
Ono jego zegarów przetrwa głuche bicie,
Nad w proch rozsypanymi wzrośnie kwiatów łanem,
Jak wyrasta na gruzach walących się domów,
Oblepiając mchem złotym i zielonym mury,
Lub pośród opuszczonych już kamieniołomów
Zakwita krzakiem cierni pnącym się do góry,
Kwiatami żółtych mleczów, pośród mchów zielonych...
Czas niszczy gniazda ptaków i dzieła człowieka,
Rzucając na nie burze piorunów czerwonych,
A życie mrożą zimy, pali słońca spieka, — —
Potęga nieśmiertelna i niezwyciężona,
Pełna złotych uśmiechów, — wiecznie młode życie
Ku wiosennemu słońcu wyciąga ramiona,
Płonie złotą jesienią w swej pychy rozkwicie,
Złoci się lwów grzywami i grozi poszumem
Orlich skrzydeł, rozlewa oceanem kwiatów,
Pieni się fal bijących w brzegi morza tłumem,
Płonie w nieskończonościach, w złotych blaskach światów...

Wiatr, który wieje,
I który przynosi z sobą ciepły deszcz,
I słońce, które życiu z błękitu się śmieje
I budzi w piersi ziemi wiecznych rodzeń dreszcz, —
Tysiące istnień rodzi,
Z których każde jrzeje
I wydaje tysiączne owoce
W poranki, wieczory i noce
I w południa skwarne,
Kiedy je ciepły deszcz chłodzi
I kiedy je grzeje
Słońce,
W wieczory parne,
Zwiastujące burzę
I dnie gorące,
Ciężarne gromem w ołowianej chmurze...
Nieprzeliczone tysiące
Istnień rodzi
Ziemia i słońce
I ciepły, dobroczynny deszcz,
W każdą, najkrótszą z godzin,
I wiecznie trwa dreszcz
Nieustających narodzin:
W powietrzu, w wodzie i na ziemi
Nowe istnienia, nieprzeliczone
Wydają ustami drżącemi, —
Życiem zdumione, —
Swoje pierwsze głosy,
Płynące do źródła światła i życia, w niebiosy,
Do słońca,
Z którem ziemia wraz z ciepłym, dobroczynnym deszczem,
Drżąca
Radosnym dreszczem,
Rodzi życie...

Choć jeszcze mrozem tchnące północne wichury,
Z krajów wieczystych śniegów i wiecznego lodu,
Pędzą śniegiem brzemienne, ciężkie, szare chmury, —
Wieją śmiercią darzącem tchnieniem swego chłodu, — —
Nad szaremi łąkami, pośród których drzewa
Niebieskie od pąkowia, w oddaleniu stoją,
Nad rzeką, która wody przez brzegi przelewa
Szara i niespokojna, — w powietrzu się roją
Ptaki przygnane dziwnym, tajemnym rozkazem
Z kraju wiecznego ciepła i wiecznego słońca, —
Lotem podniebnym płyną i spadają razem,
Kołują ponad ziemią i krzyczą bez końca
Skargę wiecznej tęsknoty, którą słońce rodzi, —
Rozpierającą piersi mocą tajemniczą
Rwącej brzegi, płomiennej, krwawiącej powodzi, —
Tęsknoty, którą ptaki śpiewają, czy krzyczą,
Która wypełnia lasy dziewicze porykiem
Groźnym lwa złocistego i na strome szczyty
Lodowców wzlata orła królewskiego krzykiem,
Gdy wschód słońca płomieniem, krwią i złotem lity
Zapala pół niebiosów, — która w pierś człowieka
Uderza falą wichrów i obudza burze
Drzemiące w sercu ludzkiem, — rwąca brzegi rzeka
Płomiennych tęsknot, — budzi w przepychów purpurze
Oczekiwania krwawo płonące godziny,
W pełne niebieskich mroków wieczory wiosenne, —
Każe prężyć ramiona w przestwór złotosiny,
W liliowe oceany, ciche i bezdenne, —
Ramiona wyciągnięte na czyjeś przybycie,
Które się stać ma właśnie... dziwną, tajemniczą
Mową mówią tęsknoty, z których wstaje życie,
Któremi ziemia dyszy, którą ptaki krzyczą,
Kołując ponad szare, ponad rzeką łąki, —
Lecące podniebnemi, bezgłośnemi loty, — —
Ponad drzewa, na których liliowieją pąki,
Płynie rodzącej życie krzyk wielkiej tęsknoty...

Choć nie wracają liście i kwiaty, jesienią
Zwarzone tchnieniem mrozów i wichrów północy, —
Powracają dni wieczne: słońca, wiosny, mocy, —
Dni wieczne, uwieńczone nadziei zielenią, — —
A życia nie zabija mroźne wichrów tchnienie,
Niosące śmierć z północy, — pod lodów powłoką,
Pod zimną śniegów chustą, ukryte głęboko
Śpi życie, które zbudzi znów słońca spojrzenie.
Powraca złote słońce, błogosławiąc ziemi, —
Prowadzące za sobą ciepłe dni i noce,
Ciepłem tchnieniem przebudza śpiące ziemi moce,
Budzi wiatry brzemienne deszczami ciepłemi.
Jego ciepłem i życiem darzące spojrzenie
Topi śniegi i lodów ciążące powłoki
Zdejmuje z piersi ziemi, i rozpędza mroki
Długich zimowych nocy i zimy milczenie.
Świeża ruń zbóż na polach zielenią się ściele
I na drzewach przydrożnych już pękają pąki,
I rowy pełne kwiatów. — Zielenią się łąki. —
Ptaki wróciły: słychać skowronków wesele.
Ponad przydrożnym rowem, nad białe stokrotki,
Nad żółte mlecze, w świetle jasnozłotem słońca,
Pierwsza złocista pszczoła miodu szukająca
Szumi i brzęczy, — wraca, niosąc ciężar słodki. —
A jeszcze leżą śniegów brudne, szare zwały,
Pod murami, w wąwozach głęboko ukryte
Przed złotem ciepłem słońca. — Jeszcze nieokryte
Zielonem liściem lasy pełne życia chwały:
Zakwitły pierwsze kwiaty, nim opadły śniegi, —
Las pełny złotych świateł w jasne, ciepłe rano,
Pełny ptaków, pszczół złotych pieśnią rozszumianą, —
Życie pieni się, szumi, przelewa przez brzegi...
Jeszcze człowiek spogląda z tajną w duszy trwogą,
Ku chmurą przesłoniętej, dalekiej północy,
Zali wichry nie wrócą przemożnej przemocy
Białych, śnieżnych zawiei i życia nie zmogą, — —
A już w promieniach słońca igra młode życie, —
W powietrzu, ziemi, wodzie, — a na złote piaski
Wyległy roje dzieci, jasne słońca blaski
Złocą im lniane główki, — — zda się słychać bicie
Soków w konarach drzewnych, i mocna woń bije

Świeżej, wilgotnej ziemi, pąków drzew i trawy
Jasnozielonej, młodej, — i w gwarze zabawy
Dzieci i w śpiewie ptaków, wszystkiego, co żyje
Zmąconym szumie, w woni bijącej od ziemi,
Wody, powietrza, — w złotem, ciepłem świetle słońca,
Czuje się, widzi, słyszy, jak radość szumiąca
Bije, niby krew w sercu, tętnami szybkiemi, —
Przenika ziemię, niebo, — nią życie oddycha, —
W niej rosną kwiaty, zioła, trawy, drzewa, krzaki,
W niej gwarem nieustannym głoszące się ptaki...
Radość życie przenika nieświadoma, cicha,
Tajemnicza, krążąca przez każde naczynie, —
W krwi, w sercu, wraz z sokami bijącemi w drzewach,
W marszczących błękit wody wiosennych powiewach, —
Cicha i tajemnicza radość życia płynie, —
Płynie cicho, jak białe, swawolne obłoki,
Radosne, pełne, lekkie, po jasnym błękicie...
Lecz oto nagle wzrasta, wzrasta wiatrów bicie, —
Pędzą chmury na słońce, siejąc ciężkie mroki, —
Ziemia staje się cicha, — zalega milczenie, —
Zaczyna padać pierwszy, ciepły deszcz wiosenny,
Padają ciężkie krople... słońca miecz promienny
Przebija chmur ołowie i złoci strumienie
Ciepłych kropel, jak złote, drżące tęczą sznury...
Powraca znowu słońce, błogosławiąc ziemi,
Deszcz pada jeszcze chwilę kroplami ciężkiemi
I wiatry pędzą dalej dobroczynne chmury...
Bowiem wrócił znów po dniach zimy, — śmierci, — klęski,
Jako zawsze powraca, dzień życia zwycięski...

Kipiące morze życia w złotym oceanie
Świateł słonecznych szumi, — brzęczy skrzydłem pszczoły
Lecącej w morze kwiatów, morze barw i woni, —
Szumi cichym poszumem bujnych zbóż na łanie, —
Skrzydłami motylemi nad wonnemi zioły,
Niby płatkami kwiatów, gra, skrzy się i płoni, —
W zatapiających ziemię złotych światła falach,
Bije tysiącem woni, barwami wybucha,
Pyszni się traw bujnością i zboża zielenią,
Kryjącą złoto kłosów, na łanach, w oddalach; —
W złotej ciszy ginących, — — jak pieśń morza głucha
Szumi, — jak fale morza na słońcu się mienią, —
Tak szumi morze życia w światła oceanie
Mającym źródło w słońcu, — w błękitu powodzi
Nieskończonej, bezchmurnej i jasnej, jak oczy
Cichych, błękitnych jezior, — w błękitu otchłanie
Życie wybucha krzykiem, tysiąc woni rodzi,
Tysiącznych barw tysiączne zmienne fale toczy, — —
Szumi, brzęczy i śpiewa przez wszystkie stworzenia:
Trzęsie się śpiewem ptaków, pod nieba błękitem,
W koronach drzew i krzewów zdobnych w młode liście
I pękające pąki, — wiecznie się odmienia,
Zostające tem samem wiecznie niepożytem,
Wiecznie bujnem i młodem, — — ponad krzewy w kiście
Wonnych kwiatów bogate, tysiącami wzlata
Szumnych skrzydeł owadów, — szumi wiecznie młode, —
Bujnej, zielonej trawy dziewicze pustynie
Pełni kłębiącym światem, — pierś ziemi bogata
Drży życiem wrącem pod nią... nad błękitną wodę,
Brzękiem, szumem, barwami tysiącznemi płynie,
Z jej błękitu wynurza się na złote słońce
Koroną wodnych kwiatów, albo złotem łuski
Ryb spadających nagle w złote i błękitne
Powietrze, wiosennemi powiewami drżące,
Głosi się ciągłym szmerem i przez złote pluski,
Złocistemi blaskami przez mchy aksamitne,
Rosnące na dnie wody, — i drży w każdej fali —
Kipiące morze życia, — rodzi ją i chłonie
Każdą, — — wiecznie to samo niezgłębione morze —
Ocean niezmierzony w błękicie się pali,
W złocistem morzu światła, które w słońcu płonie, —

Drży i kłębi się wiecznie... gdy liliowe zorze
Zapłoną na zachodów bladym seledynie,
Wieczór otula drzewa w swe niebieskie mroki
I noc zatapia ziemię w czarne fiolety,
Których pełny milczenia cień z niebiosów płynie, — —
Szumny ocean życia, bezmierny, głęboki,
Z głuchym szumem wznoszący dalekich fal grzbiety,
Zatapiający ziemię, pyszny i straszliwy
Idzie zewsząd i ziemię topi i zalewa, —
Porywający, straszny taką cichą nocą,
Gdy ciepły powiew pieści rozwichrzone grzywy
Jego fal przebudzonych, ponad zbite drzewa
Głucho uderzających przebudzoną mocą...

Wolno zaczyna padać ciepły deszcz wiosenny,
Na śnieżnobiałym kwiatem oblepione ciernie, —
Wielkie krople, bijące w ciszy takt niezmienny
W dachy domów stojących pośród drzew, w zieleni
Świeżej, młodej i wonnej, — padają niezmiernie
Wolno, — jedna za drugą w gąszcz, który się pieni
Śniegiem białego kwiecia spadającym w fale
Jednostajnej zieleni szmaragdowej trawy, — —
Spadają wielkie krople, — na idące w dale
Drzew w młodziutkiej zieleni dalekie szeregi, —
Myjące młode liście z warstw szarej kurzawy
Pokrywającej drzewa i drogę, — i w śniegi
Rozkwitających w sadach drzew grusz i jabłoni —
W śniegi kwiatów i w zieleń młodego listowia,
W fiolety fijołków, w ciszy pełnej woni
Trwające, — płyną krople, ciepłe krople deszczu, —
W zielone łąki, — zdobne w płaty złotogłowia
Kwiatów złocistych, — z wiatrem w lekkim cichym dreszczu
Przebudzonym, marszczącym ciche tafle wody,
Na łąki, gdzie krążące czarnobiałym wieńcem,
Nad cichych, ciemnych stawów tajemnicze chłody,
Czajki krzyczą nad dzieckiem idącem rwać kwiaty, —
Pełni właśnie sukienkę złocistym kaczeńcem, —
Czajki broniące gniazda ukrytego w płaty
Kwiatów złociste, — ciężkie, wielkie krople płyną, —
Wolno opadające płyną razem z ciszą
Na pola szmaragdowe, pod zielonosiną
Ścianę borów dalekich, — na pola, gdzie grusze
Śniegiem białych gałęzi nad runią zbóż wiszą,
Całe w białego kwiecia śnieżnej zawierusze, —
W skrzydła pszczół obciążonych wonnym złotym miodem
Padają ciężkie krople, — w ciemne, ciche stawy,
Mieszając się z ich pełnym szumu życia chłodem, —
Znaczą na ich powierzchni wzrastające koła, —
W głąb zielonego morza szmaragdowej trawy, —
Na nieprzebrane życie, szumiące dokoła
Padają ciepłe krople, — a ziemia je chłonie
Każdą, najmniejszą grudką spragniona wilgoci
Ciepłej, życiu skrytemu w jej rodzajnem łonie
Sprzyjającej, co wzrostu i siły przydawa:
Żółty kaczeniec żywiej w zieleni się złoci,

Omdlała w słońcu wiosny podnosi się trawa,
Żywiej świeżą zielenią błyszczą młode liście
Drzew, krzewu, kwiatu, zioła i każdej rośliny, —
Żywszą bielą się śnieżą białych kwiatów kiście
Na drzewach grusz kwitnących, — na drzewach jabłoni.
Żywiej się zróżowiły, — daleki las siny
Pociemniał, prawie czarny, — balsamicznej woni
Pełne, topól przydrożnych czerwone korony
Spłonęły żywiej, — — kwiaty, trawy, drzewa, zioła,
Zwierzęta, ludzie, ptaki, — życie z każdej strony,
Świeże, młode drży w siły i radości dreszczu,
W kroplach poczynających opadać dokoła
Sprzyjającego życiu wiosennego deszczu...

Krajem zbóż falujących i kwitnących sadów,
W złotym potopie słońca idzie bóg wesela, —
Nagi, piękny i młody, w liściach winogradów, —
Idzie i śmiech swój jasny na życie rozdziela, — —
Krajem w łąki kwieciste, zielone bogatym,
Których barwny kobierzec w słońcu się rozściela,
Idzie i lekką stopą zgina zioła, kwiaty, —
Nagi, młody i piękny, w słońcu bóg wesela, — —
Krajem gór złotosinych, rozgłośnych radością,
Których szczyt niebosiężny w jasny błękit strzela,
A ściany ich bogate winnic obfitością, —
Nagi, radosny, w słońcu idzie bóg wesela, — —
Krajem gajów cienistych, — poprzez gaj bukowy,
W którym z weselem ptaków miesza się pieśń pszczela, —
A złote pszczoły krążą wokół jego głowy, —
Idzie nagi i piękny, młody bóg wesela, — —
Krajem jezior błękitnych i srebrnych strumieni,
Trącając szumne trzciny, idzie bóg wesela,
Nad rzekami, brzegami bogatej zieleni,
Którą mnóstwo narcyzów swą bielą wybiela, — —
Nad jego głową krąży pszczół złota gromada,
Pod jego stopą wonie: kwiatów, traw i ziela
Mocniejsze biją z ziemi, — życiem szał owłada,
Gdy pijany radością idzie bóg wesela...

Radość życia się pali w bogactwa nadmiarze,
W złotej słońca powodzi bezbrzeżnej tonąca
Szumi złotym poszumem, niby wino w czarze
Lejące się przez brzegi, — w złotym świetle słońca
Płynące złotą strugą, — — złota radość płonie
W szmaragdach bujnej trawy, w śnieżnej pianie kwiatów,
Któremi w złotem słońcu grusze i jabłonie
Bielą się i różowią, których białe piany,
Lejące w błękit niebios morze aromatów
Słodszych nad miód złocisty, tworzą śnieżne ściany
Na drzewach śliw i wiśni, — — złota radość płonie
W bogactwie, którym życie złociste się pieni:
Morzem kwiatów i woni, złocistym poszumem
Skrzydeł pszczół i owadów, nad morzem zieleni, —
Złota radość wybucha i w słońcu się płoni,
Z jego mocy straszliwej przez ziemię poczęta,
Rozpierająca piersi, wyrzucana tłumem
Ptaków lecących w błękit — wieść, że oto święta
Wiosny i życia razem na ziemię przychodzą, — —
Radość trwająca w mocy bijącej przypływem
Soków w naczynia roślin, gorącym krwi warem
W żyłach zwierząt i ludzi, — — radość... w niej się rodzą
Nowe istnienia... radość, — ona wiecznie żywem
Źródłem życia i razem jego słodkim darem, —
Zrodzona z złocistego bogactwa nadmiaru,
Poczęta z mocy ziemi straszną mocą słońca,
Szumi, jak płyn perlisty przez brzegi pucharu, —
Potężna, jak moc życia, zwycięska, tworząca
Nieśmiertelny hymn życia, śpiewany tysiącem
Piersi i ust, potężny i niepokonany,
Wracający wraz z życiem z śmierci snów wstającem,
Wiecznie młody i nowy, wiecznie powtarzany...

Ponad zielonym morzem białe krążą mewy, —
Nad cichą, senną falą, która lekko wzdęta
Płynie, ledwie wstrząsana przez wiatrów powiewy, —
A na wysokim brzegu wysmukłe dziewczęta
Tańczą przedawny taniec, — wiatrem całowane,
Śnieżnobiałe ich szaty powiewają w słońcu
Spływającym ku falom, które poruszane
Powiewem wiatrów, szumią o miłości gońcu
Pieśń dziwnej, tajemniczej tęsknoty przepełną...
Słońce się już pogrąża w cichej morza fali,
Nadając blask srebrzysty białej piany wełnom
I ciche fale morza krwawym ogniem pali...
Nad morzem tańczą taniec przedawny dziewczęta, —
Prostym, przedawnym rytmem nogi poruszane,
Smukłe nogi dziewczęce... cicho fala wzdęta
Uderza w brzeg wysoki, — krwią ognia zalane
Pali się całe morze... na wysokim brzegu
Smukłe dziewczęta tańczą, — wzięły się za ręce
I zatoczyły koło, — fale w cichym biegu
Tańczą, tańczą wraz z niemi... o piersi dziewczęce,
Jak fale, poruszane, — o rytmiczne kroki
Wysmukłych nóg dziewczęcych, — biodra kołysane
Dawnego tańca rytmem, — o złociste mroki,
W których się bielą szaty wiatrem rozwiewane...
Słońce zapada w cicho kołysane fale, —
Niby krwawy kwiat płonie w złotej fali słońce, —
Krwawym ogniem wybucha fala mórz wspaniale...
O piersi nienazwaną tęsknotą dyszące,
Krągłe piersi dziewczęce, pieszczot nieświadome,
Nieświadomą dyszące, przedziwną tęsknotą, —
Jak ciche fale morza, rytmicznie ruchome
I jak one, pieszczone li wiatrów pieszczotą...
Słońce zapada w fale, — krwawy kwiat złocisty...
O oczy w dal wpatrzone, pełne tęsknot oczy
Niby kwiaty fijołków, — ciemne ametysty
Na brzegu mórz wysokim... tańca krąg się toczy,
Rozwija się i splata... fala lekko wzdęta
Bije cicho o brzegi złotych mórz zielone,
Słońce zapada w fale... o smukłe dziewczęta, —
O wargi ust dziewczęcych nawpół rozchylone,
Nieświadomą tęsknotą pocałunków drżące...

W fale, co lekko wzdęte biją w morza brzegi,
Zapada wolno krwawe, purpurowe słońce...
Rytmicznie drżą różane stóp dziewczęcych śniegi...

Ciche, ciepłe wieczory, duszne wonią kwiatów:
Zielonobiała gęstwa kwitnących ogrodów, —
Zachód nieba płonący od złotych szkarłatów, —
Szaroniebieskie mroki, pełne cichych chłodów,
Bijących wraz z wilgocią ze zroszonej ziemi; —
Szumy ostatniej pszczoły szukającej miodów, —
Lekki wiatr strącający białe śniegi kwiatów,
Lecące w szmaragd trawy, chwilami cichemi, —
I wzrastające fale miodnych aromatów,
Gdy wiatr białe gałęzie lekkim skrzydłem trąca, — —
Cisza sieje chwilami, jak kwiaty, cichemi, —
Niby biała ulewa z drzew, w trawę lecąca,
Pod szkarłatem zachodu i bladym błękitem,
Tonącym nad zachodem w bladym seledynie, — —
Ciche, ciepłe wieczory, pod niebem pokrytem
Złocistemi światłami jawiących się światów, —
Złocisty sierp księżyca w białą gęstwę płynie
Koron drzew, które kwitną cichym morzem kwiatów, —
Zapada się w nią, tonie, w białych pianach ginie...
Szaroniebieskie mroki zwolna błękitnieją,
Zatapiające ziemię prawie czarnym cieniem,
Ścielącym się na trawy i pomiędzy drzewa,
W błękitną cichość nocy idące aleją
Zalaną mrocznym, woni przepełnym milczeniem, — —
Noc pełno złotych świateł po niebie rozsiewa,
Pod którem drzew korony swym mrokiem czernieją, — —
Wiatry wieją przecichym i przewonnym tchnieniem, —
Noc milionami świateł niebiosa zalewa,
Nieprzeliczonym mnóstwem złote gwiazdy płoną, — —
Cisza staje się głębsza z coraz głębszą nocą
I coraz głębsze cienie cichą ziemię chłoną, —
Nieprzeliczone gwiazdy na niebie się złocą, —
W błękitnem niebie wonne drzew korony toną, —
Od łąk tchnących powiewem wilgoci i chłodu,
Słychać jeszcze krzyk ostry zabłąkanej czajki, —
W powietrzu pełnem cichej, słodkiej woni miodu,
Słychać z dalekich stawów żaby — nocy grajki, —
A cisza, zabłąkana wśród drzewa ogrodu,
Swym wonnym tchnieniem mówi swe milczące bajki,
Monotonne, szeptane, — o nocy, — bez końca, —
Bajki, w które wsłuchana śni gęstwa kwitnąca, —

O sobie i o nocy, o kwitnącej ziemi,
O wiecznie młodej wiośnie, wonnym tchnieniem tchnąca
Mówi cisza ustami, jak kwiaty, cichemi, —
Mówi o złotych gwiazdach, nieskończonym świecie,
Tchnąca cichą, tajemną, błękitną tęsknotą, —
A lekkie wiatry prószą nam na głowy kwiecie
I meteory gasną błyskawicą złotą...

Pachną czeremchy białe, —
Białe, pachnące słodko drzewa, —
Białe korony wspaniałe — —
Wiatr woń ich aż tu przywiewa,
Mocną i słodką woń miodu — —
Pachną czeremchy białe, —
Białe korony wspaniałe,
Białą ścianą nad murem ogrodu
Wiszące, —
Czeremchy białe, pachnące,
Białe, pachnące słodko drzewa, — —
A wiatr ciepły i cichy
Kołysze białe, wonne ich przepychy
I słodką ich woń rozlewa
W złote od słońca
Ogrody, —
Kołysze się biała ściana
W słońcu wisząca, —
I płyną wonne, słodkie miody, —
Nieporównana woń przez białe drzewa
Rozlewana
W złote od słońca
Ogrody, —
Wiatr ją aż tu przywiewa, — —
Pod jego cichym i ciepłym oddechem,
Białe czeremchy się kołyszą, —
Białe, pachnące słodko drzewa,
Których białe korony słońca zalane uśmiechem
Nad murem wiszą, — —
Pachną czeremchy białe, —
Białe korony wspaniałe,
Pełne słodkiej woni
Miodu, — —
Wiatr je kłoni
Nad murem ogrodu, —
Pachnące czeremchy białe, —
Ciepły i cichy, —
Białych koron wspaniałe,
Pyszne, przewonne przepychy...

Dziewczynko w ponsowej sukience, —
Krótkiej, pozwalającej widzieć twe drobne kolana,
Twe, gdy biegniesz, prężące się nogi dziewczęce, —
Chłonie cię i wyłania rzesza rozkrzyczana, — —
Bawiąca się wśród dziewcząt swawolących grona,
W swojej ponsowej, krótkiej do kolan sukience,
Widać, żeś z jej krótkości tak zadowolona, —
Wszak nie przeszkadza w ruchach, gdy biegniesz, lub w ręce,
Skacząc, jak młoda łania,
Chwytasz piłkę swawolną, — —
Gromadka dziewcząt z siebie cię nagle wyłania, —
Uciekasz, one biegną za tobą, jak wolno!...
Zostawiłaś je w tyle,
Biegnąca jak strzała,
Bez spoczynku, na chwilę, —
Atalanto mała!
Podniecona zwycięstwem, biegniesz bez pamięci:
Ponsowa plama twojej zbyt krótkiej sukienki
Ogłasza, że się tryumf twój, — zwycięstwo święci, —
Podniecasz towarzyszki śmiechem, ruchem ręki
I biegniesz, zostawiając poza sobą krzewy,
Drzewa i senne, rozdrzemane stawy, —
Z twą sukienką igrają wiosenne powiewy
I rozwiewają włos twój na słońcu złotawy,
I pieszczą twoje drobne kolana dziewczęce...
Nieznajoma dziewczynko w ponsowej sukience,
Aniś się nie zmęczyła, aniś zadyszana, —
Razem z tobą zwycięstwa twego tryumf święcę
I cieszy moje oczy twa uradowana,
Pełna zwycięskiej dumy, szlachetna postawa, —
O mała Atalanto, królewno zwycięska,
Jeszcze z pod stóp twych hyżych nie powstała trawa
Szmaragdowa i jeszcze nie przebrzmiała klęska
Twych małych towarzyszek, — ty już biegniesz żwawa
I odrzucasz im piłkę wdzięcznie pochylona,
I przerwana na chwilę, swawolna zabawa
Wre wśród twych towarzyszek wesołego grona,
A ty jej przewodniczysz, — piłka w błękit leci,
Podbiegłaś, już ją trzymasz, — piłka w błękit pada,
Biegną za nią w zawody swawolące dzieci —
Towarzyszek twych w barwnych sukienkach gromada,

W parku ich krzyk wesoły naokół rozbrzmiewa, —
Piłka leci przez błękit, już ją trzymasz w ręce,
Rzuciłaś ją wysoko, nad zielone drzewa, — —
I słychać w całym parku wesele dziewczęce...

Zobaczyłem cię w ciemnej dębowej alei,
Na pysznym karym koniu, o godzinie świtu
Konającej, — bo słońce bezdrożem błękitu
Wschodziło właśnie, kwiatom z drzew w śnieżnej zawiei
Spadającym nadając blask złotoróżowy,
Że leciały ulewą różową i złotą
W jasne szmaragdy trawy, — twoim jasnym splotom,
Matowym, szarozłotym, — pięknej twojej głowy
Złocistemu bogactwu cieszyłem me oczy — —
Wyjechałaś z alei, — różowa jabłonka
Oprószyła cię kwieciem, — niby amazonka,
Siedzisz na twoim koniu, który dumnie toczy
Swoim ognistym okiem, czując cię na grzbiecie, —
Łukiem wygiął wspaniałą, delikatną szyję,
Na której popod skórą lśniącą sieć się wije
Żyłek przedelikatnych, — posłuszny, jak dziecię,
W twoim ręku, a z nozdrzy ogniem, zda się, bucha, —
Puściłaś wodze — grzywa falą się uniosła — —
Sadzi pełnym galopem — pędzisz z koniem zrosła, —
Koń pędzi, jak wichura, — kwiat i trawa krucha
Kładzie mu się pod nogi, — naraz przeszedł w kłusa,
Niesie cię przerozkosznym, lekkim kołysaniem...
Znowu galop szalony — na mgnienie przystanie:
Przez strumyk, pośród łąki, dał strasznego susa —
Pędzisz dalej... jak pysznie powodujesz koniem!
Nie drgniesz nawet na siodle, gdy cię wichrem niesie!
Zupełnie puszczasz wodze — już zniknęłaś w lesie,
Który od blasków słońca purpurowy płonie...
Zakochałem się w twojej piękności i sile,
Gdym cię zobaczył rano w dębowej alei, —
Przejeżdżając koło mnie, spłoniona, w zawiei
Kwiecia, które leciało z drzew, niby motyle
Złociste i różowe, — pełnym wstydu ruchem,
Poprawiłaś swej sukni, choć nie było trzeba,
Tracąc na chwilę pewność, — jasny błękit nieba
Złocistym i różowym prószył na cię puchem, —
Przejechałaś koło mnie, — koń szedł, jak wichura...
Radowała mnie twoja młodość, piękność, siła...
Szalona jazda w dal cię jasną unosiła,
Kędy lasów płonęła od słońca purpura, —
Podałaś piersi naprzód, dziewczyno szalona,

Upojona wspaniałym, szybkim konia biegiem, —
Wstrzymałaś się na chwilę nad strumienia brzegiem,
I już byłaś na drugim, — jazdą upojona
Szaloną i wspaniałą, — pyszną, jak wichr, jazdą —
Cieszyłem tobą serce, szalona dziewczyno, —
Ani czułem, że chwile, jak kwiecie z drzew płyną, —
A dzień się czynił biały, złotą słońca gwiazdą
Jasny, złoty... myślałem o tobie i koniu
Twoim karym, ognistym, wspaniałym w swej pysze,
Jak niesie cię wichurą i kłusem kołysze,
Posłuszny w twoim ręku — wracałaś po błoniu...

Wśród morza zbóż
Złocistych i zielonych, —
Seledynowych,
Zakwitły wspaniałe krzewy
Dzikich róż,
Bogactwem kwiatów bladych, —
Różowych,
Wznoszących ciche śpiewy
Milczenia i woni
Do słońca,
Które w przepych zórz
Ubiera niebiosa, —
Barwi je i płoni
Złocistym ogniem i purpurą,
Nadając chmurom,
Nad niem wiszącym
Blaski złota
I żary krwi, —
Strzały w nie miota
Drżące złotem
I ogniem
I purpurą
Zórz...
Śpiewają krzewy
Dzikich róż
Kwitnące: —
Milczenia i woni
Ciche śpiewy...
Milczą ciche godziny,
Kończące
Dzień, —
A słońce
Kłoni
Swą głowę,
W złotoróżowe
Morze zbóż
Zapadające, —
Zachodzi, — gaśnie, — zapada...
Liliowosiny
Cień
Na zboża pada, —

I zboża drżą, drżą...
Gasną wybuchające
Krwią
Blaski zórz...
Zaszło słońce...
Chwila...
Cicha...
Na krzewach
Kwitnących róż,
Tonących w cichych śpiewach, —
Rodzą się krople rosy
I drżą, drżą
Na kwiatach...
Bledną niebiosy, —
Z ich bladego kielicha
Padają jedna za drugą
I płoną
Gwiazdy...
Na kwiatach dzikich róż
Drżą, niby łzy,
Krople rosy, —
Niby łzy, wywołane
Modlitwą śpiewów długą, —
Do słońca,
Do słońca,
Do słońca...

O pola w bujnych zbóż rozkwicie,
Tkanym czerwienią krwawych maków, —
Wesele śpiewających ptaków,
W jasnym, bezchmurnym nieb błękicie, — —
Pola zielone, falujące,
Niby zielone oceany —
Przestwór zielony, rozśpiewany
Pieśniami świerszczów, — złoci słońce...
W popołudniowym, cichym słońcu,
Poza zbożami barwne łąki,
W tysiącznych kwiatów zdobne pąki, —
Dalej wspaniały las, na końcu, — —
Zielenią liści bujne drzewa,
Darzące cichym, słodkim cieniem,
Lekko ruszane wiatru tchnieniem,
Co szumem zbóż z świerszczami śpiewa
I kłoni lekko bujne trawy, —
Cicho przesuwa się po łące,
Burząc posłanie traw wabiące
Do słodkich szałów i zabawy...
W strumieniu kąpie się najada,
W słońcu tęczowe krople wody
Pieszczą jej ciała przepych młody...
Cud: z lasu młody faun wypada —
Najada zrywa się i hyża
Ucieka, pierzcha przestraszona, —
W słońcu gonitwa wre szalona:
Złotem lśni fauna głowa ryża,
Najada pierzcha przez traw morze, —
Na wiatr rozwiane złote włosy, —
Wpadła w las zboża, — szumią kłosy...
Jeszcze ci pierzchnie, młody boże!
Młody faun dopadł jej zwycięski, — —
Przyroda milknie zadziwiona, — —
Ze śmiechem chwycił ją w ramiona, —
A Echo śmieje się z jej klęski...•

Seledynowe, blade żyta — —
Makami tkane i kąkolem,
Kwiatem bławatków przetykane, —
Zielone morze zbóż rozkwita,
A wiatr, płynący ponad polem,
Seledynowym wstrząsa łanem, —
Seledynowe pachną żyta — —
Seledynowe, blade morze,
Nad niem liliowa kłosów smuga,
Drgająca, w słońcu złotolila, —
Kwitnące, blade pachnie zboże, —
Kłosów liliowa fala długa
Płynie, — łan żyta się pochyla, —
Seledynowe, szumne morze — —
Seledynowe płyną fale, —
Płyną i płyną nieskończenie
W jasne błękitu oceany,
Które unoszą w złotej chwale
Ogromne słońce, — wiatru tchnienie
Sunie łan żyta rozszumiany, —
Seledynowe, blade fale...

Złocistopłowe zboża, — jasnozłote żyta,
Zwisłe ciężarem kłosów, w pełne, złote ziarna
Bogatych i obfitych, — bogactwem obfita
Kłosów jrzejących, pachnie, niby woń ofiarna,
Mocnozłota pszenica,— pachną złote zboża, —
Mocne ich wonie biją do słońca od ziemi,
Niby dymy ofiarne, — złota radość boża
Płonie w bogactwie ziemi i słońca złotemi
Wybucha płomieniami, i złotobłękitną
Drży falą nad zbożami, w błękitnej oddali, —
Śni kwiatami, co w zbożach złotopłowych kwitną, —
Krwawą purpurą maków, wśród złota, się pali,
Prawie czarnym fioletem ostróżek przygasa,
Barwą jasnego nieba w podróżnikach śpiewa, — —
Wybucha, w złotej ciszy, w słońce zboża krasa,
Złota, bujna, bogata, — w radość się rozlewa
Złocistemi falami, — ku ziemi się chyli,
Ciężka bogactwem kłosów, ciężkich, długich, pełnych, —
Wybucha jasnym złotem, by na krótkość chwili, —
Gdy słońce się ukryje wśród obłoków wełny
Śnieżystobiałej, — zgasnąć, — wybuchnąć na nowo
Jasnym przepychem złota, bogactwem obfitem, — —
Źdźbła, pyszne, złotopłowe, gną się kłosów głową
Ciężką, ciężko ku ziemi, a nad jrzałym żytem,
Nad jrzejącą pszenicą, — nad złote, płynące
W dale, pola bogate, w powietrza błękitne,
Złociście drżące fale, — lśni ogromne słońce,
Bogactwem swego ognia, — — w trawy aksamitne, —
Szmaragdem strojne łąki, i pola złociste,
Pachnące złotym zbożem, kwiatem przetykane,
Ziemia i złote słońce, obłoki śnieżyste,
W błękicie nieba, mówią o bogactwa pełni,
O złotej pełni życia, — że zapowiadane
Nadzieje wiosny, lato przebogate pełni, —
Lato złotobłękitne, w swej radości, iści, —
Lato złotobłękitne, strojne w złote zboża
I w bujny przepych kwiatów, w moc zielonych liści
Lasów stojących w słońcu, w jrzejące owoce
Przebogatych ogrodów, — — ziemi radość boża
Pali się w ogniu słońca, iści życia moce,
Zapowiadane wiosną, — pełni się i jrzeje

W owoc, co było kwiatem, — pełnią się nadzieje,
Stają się złotym latem, — ziemia jest jak morze,
Złote morze bogactwa, — jak ognia ocean,
Pali się złote słońce, — ziemia płonie zbożem,
A jasny błękit śpiewa, w złotej ciszy, pean, —
Nad przebogatą ziemią i słońcem bogatem,
Nad życiem, co wybucha pysznem, złotem latem...

Na brzeg gaju, tonący w złocistej ulewie
Cichych świateł słonecznych, wybiegła dryada, —
W ognistozłotych włosów przepysznym zalewie,
Który na krągłe piersi i na plecy pada,
Znieruchomiała w słońcu: jej zielone oczy,
Niby toń niezgłębiona dziwnych leśnych mroczy,
Zdumione utonęły pod jasnym błękitem,
W złocistej fali zboża, poza falą kwiatów
Dalekich łąk, bogatych przepysznym rozkwitem,
Pełnych złota, fioletu, bieli i szkarłatów —
Smukłych dziewann, i dzwonków, maków, białych lilii — —
Zalane światłem słońca wiatr je lekko chyli,
Aż do stóp zapatrzonej w dale pól dryady, —
I pieszczą, niby śniegi, białe jej kolana
I słodkich bioder cudne, złote w słońcu spady, —
Pieści ją wiatr i słońce, a pierś poruszana
Słodko cichym oddechem, jak kwiat, który chyla
Tchnienie wiatrów, zwabiła pysznego motyla:
Zawisł swych wielkich skrzydeł wspaniałym szkarłatem, —
Spragniony złotych miodów pachnącej słodyczy
Drży, płonąc na jej piersi krwawym maków płatem...
Z głębi lasu, kukułka ranne hasło krzyczy — —
Dryada drgnęła lekko, niby przebudzona,
I wraz skryła ją lasu głąb ciemnozielona, —
Chwilę jeszcze wśród krzewów, między białe drzewa,
Mignęła śnieżnobiałem, cudownem swem ciałem,
Zalśniła złotych włosów ognista ulewa — —
Znikła, — motyl szkarłatny swem skrzydłem wspaniałem,
Płonąc niby kwiat maków, po lesie ją goni...
Ranne hasło kukułki, pośród ciszy, dzwoni...

Pasterze smagłolicy, przyodziani w skóry,
Pasterki pierś kryjące białym owiec runem, —
W spiece słońca, pod nieba błękitem bez chmury,
Pasą stada kóz białych, owce białorune...
Tonące w bujnej trawie kozy, owce białe
Szczypią pachnące zioła, w kwiatów i traw gąszcze
Pogrążają się zwolna, w złocie słońca całe...
Na kwiatach zawisają pszczoły, i chrabąszcze
Na źdźbłach wysokiej trawy ciężko się kołyszą,
Albo, szumiąc skrzydłami, wolno ulatują
I znów spadają w trawy, — nad kwiatami wiszą
Motyle i owady złociste się snują...
Pachną, na słońcu, trawy słodką wonią miodu...
W bladym błękicie nieba gór zielonosine,
Dalekie toną grzbiety... w rzece pełnej chłodu,
Wiatr ledwie dostrzegalny trąca szumną trzcinę...
Pasterze smagłolicy i pasterki młode,
O złotej, krągłej piersi pod srebrzystym runem,
W spiece słońca swą pasą białoruną trzodę, —
Stada kóz swoich białych, owce białorune,
Które, idąc powoli wśród wysokiej trawy,
Rozeszły się daleko, aż pod młode gaje,
Gdzie z najmłodszą pasterką pasterz kędzierzawy
Skryli się z swą miłością: ona mu oddaje,
Na posłaniu ziół wonnych, wśród kwiatów, płonąca
Swoje złote, pachnące, jak kwiaty i zioła, —
Jak owoc winogradu w złotej spiece słońca, —
Słodkie swe, młode ciało... pośród traw, dokoła
Białorunych się pasą kóz i owiec trzody, —
Głoszą się leśnych bogów swawolą i śmiechem
Zielonych gajów słodkie, tajemnicze chłody,
Aż owce, słysząc bogów śmiech niesiony Echem,
Wznoszą głowy i patrzą w ciemną gajów głębię
Zdumionym, pełnym trwogi tajemnej spojrzeniem,
A nad gaje wzlatują spłoszone gołębie,
I kołują w błękicie zdjęte przerażeniem...

Leżę na wzgórzu, — krzaki dzikiej róży
Kwitną nade mną, sypiąc blade płaty
Na moją głowę odkrytą i ręce, —
Przede mną pyszne fioletowe kwiaty
W słońcu się chylą ciężarem swych kruży, —
W błękicie słychać wesele ptaszęce, —
Blaski padają mi na ręce, głowę,
Złociste plamy wśród trawy się kładą, —
Widzę w nich muszki złote i zielone
I niema końca przeróżnym owadom,
Na które patrzę, — u stóp moich płowe
Zboża się chylą, słońcem wyzłocone
Łany, płynące ku dalekich borów
Czarnozielonej, fioletowej ścianie,
W powietrze parne, ciężką mgłą wiszące
Nad cichą ziemią, — w godzinie wieczoru
Zapewne burza przyjdzie — świerszczów granie
I śpiew skowronków, płynący aż w słońce,
Przerywa ciężką, jednostajną ciszę, — —
Słychać w niej szelest liści na topolach
Przydrożnych, szmery słychać ustawiczne
Owadów w trawie... głosy życia słyszę
I głosy ziemi... stojące na polach,
We zbożach płowych stare grusze liczne,
Dalekie bory i zielone gaje,
Kwitnące łąki, szumna trzciną rzeka,
Daleka przestrzeń we mgle pogrążona,
Głazy przydrożne i ziemia daleka,
Woda, powietrze, droga i rozstaje,
Cisza i wrące wnętrze ziemi łona,
Jagnię pasące się wśród kwietnej łąki,
Orzeł, co nad niem, w błękicie się waży,
Dęby podniebną koroną wyniosłe,
Dzwoniące w słońcu łąk błękitne dzwonki, —
Wszystko jest we mnie, — słońce, które darzy
Ziemię i życie pośród niej wyrosłe
Światłem, i ciemne głębokości morza
I całe życie, które w sobie kryją, —
Czuję, że niema na niebie i ziemi
Nic, nic poza mną, — we mnie szumią zboża,
Słyszę, jak we mnie soki roślin biją,

Pieśń życia śpiewa we mnie głosy swemi
Hymnem wieczystym — - o słońce, o ziemio,
O wodo, niebo dalekie, błękitne,
O życie, życie, o wszelkie istnienia,
O ziemio, ziemio, — wraz z kwiatami kwitnę,
Z głazami, które w twojem wnętrzu drzemią,
Milczę, — wraz z tobą, którą czas odmienia,
Wiecznie się zmieniam, — z życiem jestem jedno
I z tobą jedno, — o ziemio, — o słońce...
Serce me mówi milczeniem przegłośnem, —
Wraz z tobą płynę w nieznane bezedno
Nieskończoności... moje serce drżące
Na twojem łonie, o ziemio, radosnem
Szeptem, wraz z tobą, mówi: jestem jedno...
Trawy nademną pochylone, żyto
Chyli się cicho aż ku mojej głowie —
Czuję, co chwila, kłosy pośród włosów —
I mówi do mnie w swej nieznanej mowie,
Którą me serce słyszy... na odkrytą
Głowę mi spada ciężkość cichych kłosów...

Obłoki, które wiatry pędzą po lazurze, —
Obłoki coraz inne, z każdą chwilą zmienne,
Okrętom, czy zwierzętom, to podobne górze,
Zwiastujące pogodę, to burzą brzemienne, — —
Zwiastuny zimy ciężkie rozsiewacie mroki,
Ciężące ponad ziemią ciężkim zwałem śniegów, —
Złoty przepych jesieni gaszące obłoki,
Grożące wód rozlewem poprzez ciszę brzegów, —
Obłoki przynoszące ciepłe deszcze z wiosną,
Radosnemi czynicie wiosenne niebiosy,
Czyniąc duszę patrzących na wasz lot radosną, —
Wy z sobą przynosicie pierwsze wiosny głosy —
Gromy wiosennej burzy, które budzą ziemię
Z głębokiego snu zimy, — wstrząsając jej łonem,
Zdejmują z niej gniotące odrętwienia brzemię,
Głosząc zwycięstwo życia swem światłem czerwonem,
Głosząc zwycięstwo życia silnym gromów głosem, —
Wy przynosicie z sobą straszne burze lata,
Siejąc złotoczerwonym błyskawicy włosem,
Same koloru miedzi — śmierć — strach i zatrata:
Wasz grom burzy i łamie, niszczy i zapala,
Pod waszym tchnieniem pada: kwiat, drzewo i zwierzę,
Przepływacie nad słabem — straszna śmierci fala,
Radując serca silnych: na wyniosłe wieże
Górskich szczytów wzlatuje, przy odgłosie gromów,
Dumny, wspaniały orzeł i skrzydła szeroko
Rozpostarłszy, na szczycie poszarpanych złomów
Bawi blaskiem błyskawic swe królewskie oko...
Wy z sobą przynosicie deszcze dobroczynne
Wiosny, lata, jesieni, — o wieczne wędrowce
Dziewiczych szlaków nieba, z każdą chwilą inne, —
Białe, jak białorune, wśród jeziora, owce,
Pijące lazurową, złotą w słońcu wodę, —
Ołowiane, gromami i gradem ciężarne, —
Czarne, miedzianorude — bożki zniszczeń młode,
Rzucające swe gromy w popołudnia parne, —
Obłoki, inne rano, wieczorem i w nocy,
Wstające wpierw niż słońce i później niż ono
Wędrujące po niebie, wśród złotych gwiazd mocy,
W zachodzie słońca złote, purpurowe łono
Mające, — o obłoki, o zmienne obłoki,

Wy zwiastujecie burzę, ciszę i pogodę,
Zwiastujecie, że mrze już nocy mrok głęboki,
Nim wzejdzie złote słońce, — bożki wieści młode,
Posły ciszy, czy burzy, nigdy niestrudzone,
W jasnej toni lazurów płynące z wiatrami,
Cicholotne obłoki bądźcie pozdrowione, —
Cicholotne obłoki płynące nad nami...

Dziewanny kwitną na ugorze,
Za niemi złote, płowe zboże...
W słońcu, wysmukłe, proste pręty
Złocistych dziewann, — zieleń mięty
Matowa, w słońcu lśni srebrzyście
I macierzanki drobne kiście,
Mocnozielone, lśniące, w lila
Strojone kwiaty, — mak pochyla
Swe purpurowe, ciężkie głowy, —
Krzak dzikiej róży w kwiat różowy
Bogaty, w słońcu ciężko zwisa, —
Skromna, wśród trawy, ziół, melissa,
Wabiąca pszczół złociste roje,
Pełniące złote w słońcu znoje,
Siejące szum i złote brzęki, — —
Te same świerszczów brzmią piosenki
W złocistopłowym zbożu, — cichy,
Złocisty płonie dzień, — przepychy
Bezchmurnych, jasnych nieb się palą
Złotobłękitną, jasną dalą
Ponad zbożami, nad ugorem,
Nad czarnosinym, w słońcu, borem,
Nad kwietną ziemią, nad złocistym,
Słonecznym dniem, — płonie przeczysty,
Przejasny błękit, — ponad szczyty
Dalekich, sinych gór, — — w błękity
Płynie brzęk pszczeli i ziół wonie...
W ich ciszy kwietna ziemia tonie...

O ziemio, ziemio, pokryta
Falami złotego żyta,
Szmaragdem trawy bogatem, —
O ziemio, pokryta kwiatem
Przerozmaitem, ziołami
Pełnemi woni, drzewami
Strzelającemi w niebiosy, —
O ziemio, bogata w kłosy
I w wina złotego grona, —
O ziemio, błogosławiona,
Pełna złocistych pszczół miodów — —
W godzinie złotych zachodów
Za szczytów gór ametysty,
W godzinie wschodów złocistych,
W rana, południa i noce, —
Przez twoje złote owoce,
Przez życia twoje bogactwo,
Przez weselące się ptactwo,
Przez lwy i orły, owady,
Przez rzeki i wodospady
Straszliwym pełne zniszczeniem,
Dziewiczych borów milczeniem
I mową, przez oceany,
Przez przestwór słońcem zalany,
Przez gór zielonych łańcuchy,
Przez życia poszum głuchy,
Przez dzisiaj, przez dni, co drzemią
Nienarodzone w wieczności,
Błogosławiona bądź ziemio
Kwietna, — przez życia radości...

Przepyszny, złocistożółty zakwitnął janowiec, —
W promieniach słońca złocistych, złote całe pole,
W złocie słonecznych płomieni wysmukłe topole, —
Toną w błękicie, po którym, niby stada owiec,
Wiatry suną srebrzyste, śnieżnobiałe obłoki — —
Zda się, że w cichym ich biegu słychać czasu kroki
Złotego, radosnego, — że rytmem ich janowiec
Przepyszny, złocistożółty swe głowy pochyla, —
Że przez pole złociste złota przechodzi chwila, —
Zda ci się tak, o duszo, serce radosne? — powiedz...
O radość twoja zakwitła, jak złoty janowiec...

O złote, o słoneczne dni,
O złote, słoneczne lato,
O złoty, słoneczny blask światła się lśni
Wszędzie, bogato
Rozlany — —
O złota, o słoneczna ziemio,
O złote, słoneczne łany,
O złoty, świateł pełny każdy liść
W słońcu stojących drzew
I kwiatów kiść,
I pyszny kobierzec traw,
Które porusza ledwie widzialny wiew
Wiatrów cichych — —
O złotych świateł pełny,
Cichy, jasny staw,
O światła pełne, lilii wysmukłe kielichy,
O pełne światła przestrzenie,
Dalekie, nieprzemierzone,
O złote, o słoneczne milczenie,
Złotych nadmiarów bogactwa,
Rozrzutnie, w każdą stronę,
Bez liczby rozlanych — —
O złote, o słoneczne lato bogate,
O świateł złotych, — świateł słonecznych czar,
O światła, o słońca tak wiele,
O światła słoneczny dar,
Światła wesele,
Światła bez liczby i miar — —
O złote, o słoneczne,
O bogate lato,
O złote, o słoneczne dni, —
Dni wieczne
Powracającej radości,
Bogato
Strojącej ziemię — —
O słońce,
O słońce w mocy zenicie,
Nad ziemią,
O życie, —
O światło, o światło słoneczne,
O moce

Życia wieczne, —
Dojrzewające owoce
Po sadach,
O grona w winogradach,
O grona się złocące
Bogato — —
O światło, o światło,
O słońce,
O złote, o słoneczne dni,
O lato...

O złote lato... pola... sady...
Dojrzałe zboża... w sadach drzewa
Bogate w owoc... blask... ulewa
Złotego światła... blasków grady
Padają w trawę, poprzez liście...
O złote lato... sad dojrzewa:
Owoc się pełni złotym winem, —
Rumieni krwią, złoci bursztynem, — —
Słońce blaskami złota zlewa
Winogradowych jagód kiście...
O każda złota słońcem chwilo:
Ziemia światłami słońca śpiewa, — —
Po połach zboża, w sadach drzewa
Czarem owocu w dół się chylą, — —
Winobrań złote idzie przyjście...

O upojenie, upojenie, —
Niebo zalane stu barwami:
Złoto, purpura i płomienie, —
Ponad zachodem chmur pasami
Złotemi, lila, różowemi, —
Spadającemi aż do ziemi,
W łańcuchy gór zielonosine, —
Ponad któremi ogień bucha,
A nad nim jasnym seledynem,
Jak oceanu woda głucha,
Ciszy się niebo i błękitem,
Spada nad ognia, barw rozkwitem, —
Ku rozszalałym widnokręgom —
Barwami stu i ognia szałem, — —
Purpura zorzy ognia wstęgą
Pod oceanem rozszalałem,
Nad ziemią płonie, — a na wschodzie
Ciche obłoki w snów ogrodzie
Seledynowym i złocistym,
Podobne białym owcom czystym,
Na które pada blask zachodu,
Barwiąc purpurą białe runie, —
Nad niemi wieże jakichś grodów, —
Płomiennych ptaków orszak sunie, —
Smoków, potworów i straszydeł,
Przez morze snów seledynowe, —
Orły o cichych, złotych piórach
Topią swe szpony w smoków głowę, — —
Zapadło wszystko w ognia górach...
Błękit, wybuchy barw, milczenie —
Seledynowe oceany...
O upojenie, upojenie —
Przestwór niebiosów, barw zalany,
Złota i ognia wybuchami,
Ponad sinemi gór szczytami...

Wieczór złotopurpurowy
Gasi ciche szumnych drzew rozmowy, —
Drzewa w złotopurpurowym cieniu,
Stoją ciche, w głębokim milczeniu: —

Wycinanym liściem strojne klony
Uciszyły bogate korony

Słodkie lipy, woniami roniące
Uciszyły liści serca drżące

Stare wiązy swych konarów sploty
Pod strop niebios wyrzuciły złoty

Słabe brzozy na pień złotobiały
Opuściły splot liści omdlały

Mocne buki swoje lśniące liście
Wzniosły w gwiazdy świecące złociście

A wyniosłe, w złotym blasku, dęby
Chylą liście cięte w zdobne wręby

Wszystkie stoją milczącą gromadą, —
Dęby, buki, lipy, brzozy, klony, —
Na pnie blaski purpury się kładą,
A na liściach lśni poblask zielony, —
Wszystkie toną w purpurze zachodu,
Pośród cichych, purpurowych chłodów,
Które płyną cichymi falami,
Ponad ziemią milczącą, — polami:
Topią łańcuch gór zielonosiny,
Zatapiają owsów seledyny
Drżące blaskiem srebrzystym, — jęczmionów
Złotą zieleń, — płyną z nieboskłonów,
Zatapiają pszenicę i żyta
Purpurowozłociste, — okryta
Traw szmaragdem złotopurpurowym
Cicha ziemia tuli kwiatów głowy,
Które za chwilę zgasną... ciche niebo zlewa
Blask złotopurpurowy na milczące drzewa...

Jaskółek całe roje, —
Czarnosrebrzyste ptaki,
W słońcu, ponad polami
Krążą, — — o ptaki moje, —
Zwiastuny, — wiosny znaki,
Krążycie błękitami, —
Spadacie ponad pole,
Stojące w złota falach,
W przepysznym zbóż rozkwicie, — —
To kołujecie w dole, —
W czystych błękitu dalach,
Wzniesione hen, krążycie —
Krążycie, kołujecie
Swych śmigłych skrzydeł lotem,
Nad ziemią przeobfitą,
Stojącą w bujnem lecie,
Pod jrzałem zbożem złotem; — —
Czas idzie złotym żytom,
Czas idzie bujnym zbożom,
Bogatym złotem ziarnem, —
Lato się złote chyli, — —
O czyli was nie trwożą,
Ptaki srebrzystoczarne,
Myśli odlotów chwili? — —
Swym szybkim, śmigłym lotem
Toniecie w nieb przestrzeni,
To obsiadacie rojem
Gałęzie, w świetle złotem...
Jaskółek lot, jesieni,
Zwiastuje przyjście twoje, —
Przybędziesz, o jesieni, —
Bogactwem przebogato,
Słonecznie i złociście
Twe przyjście ziemię zmieni,
Zdobiąc ją złota szatą, —
Drzewa w złociste liście,
Dziś strojne zieloności
Mocnej bogatym czarem,
Nad ziemią w traw zieleni, —
Przyniesiesz w obfitości
Owoców, — — życia darem

Słonecznym, o jesieni
Złocista, jesteś, — poro
Złotego winobrania, — —
Przybądź! — jaskółek loty
W błękicie, hen ku borom,
Zwiastują cię, zbierania
Owoców czasie złoty, —
Jesieni złoty czasie, — —
Jaskółek lot podniebny,
Nad bujne traw kobierce, —
Jesieni w bogactw krasie, —
Nad łan złociście chlebny
Jaskółek loty — serce
Radują, — zwiastujące,
Że iści się twe przyjście,
Jesieni, o jesieni, —
Wiedzie cię z sobą słońce,
Strojną w złociste liście,
W purpurze złotych cieni, — —
Czeka cię ziemia cicha,
Stojąca w zboża złocie,
W kwiatów i traw kobierce
Strojna, — aż ją twa pycha
Zaleje złotem, — — w locie
Czuje cię, ptaków, — serce...

O winobranie, o złote, o winobranie,
O złote grona, o słońce pada na nie,
O gron złocistość, o gron złocistość zielona,
O gron purpuro, bogate, pełne grona,
O winobranie — złota radości godzina,
O grona pełne, bogate radością wina,
Bogactwo winnic, bogactwo winnic obfite,
Radości winnic, pod nieba cudnym błękitem,
Radości złota, o winnic złote ogrody,
Złocistym sokiem nabrzmiałe, pełne jagody,
Dzień winobrania, dzień winobrania złocisty,
Jagód purpura, złocistość i ametysty,
O jagód złota obfitość, jak złote grady,
O winobranie złociste, o winogrady,
O winogrady, o radość, o złota radość, —
Pragnieniu złotej radości uczyńmy zadość, —
Koszami grona złociste noszą dziewczęta,
Radości święta, bogactwa złociste święta,
Wozami grona złociste pociągną woły,
O dzień radości złocistej, o dzień wesoły, —
Pragnieniu złotej radości uczyńmy zadość,
O radość złota, o radość, o radość, radość...

O ziemio w słońcu jesieni, poranną mgłą otulona, —
Strzałami światła złotemi słońce mgły siwe przenika,
Światłami słońca rozdarta mgły siwej pęka opona —
O ziemio cicha, złocistych, słonecznych świateł muzyka
Napełnia błękit i spada ku tobie złota falami, —
Rozlewa ciche swe fale na łąki, sady, ścierniska,
Płynie i płynie czarnemi zoranych skib fioletami,
Ku borom sinozielonym, — między drzew rzędy się wciska,
Drżąca w zielonej ciemności, gra w siatkach złotych pajęczyn,
Pieśniami złota otula pnie sosen złotobronzowe,
W srebrze strumienia, wśród łąki, odbita dzwoni i dźwięczy, —
Roztapia, chłonie gasnące mgły cienie szaroliliowe
I płynie czysta i złota powietrzem, ziemią i wodą —
Złota pieśń słońca jesieni, — z drzew złoto liści otrąca —
Złotemi płyną szumami — płynie ku złotym ogrodom,
Gdzie słoneczniki złociste zwracają głowy do słońca...

Drzewa stoją ciche, —
Jasna jesień
Listowia przepychem
Śpiewa...
Lesie,
Ciche twoje drzewa,
Lesie, lesie, —
Listowia ulewa
Szumy
Niesie, — —
O złocisty lesie,
Drzew twych tłumy
Jasna, złota jesień
W ciche tumy, —
W złotą ciszę mieni,
Lesie, lesie...
O złota jesieni...
Szumy
Niesie
Liści
Zlewa...
Strojne w złota kiści
Stoją drzewa,
A szum złotych liści
W ciszę
Śpiewa...
Złoto się kołysze,
Przez błękity, —
W złota lecą pysze
Liście...
Kity
Drzew płoną złociście, —
Złoty lesie,
Złote płoną liście —
Jesień, jesień...
Ciszo... ciszo... ciszo...
Lesie, lesie...
Liście się kołyszą —
Szum się niesie —
Pada liści zlewa, — —
Drzew twych tłumy,

Ciche twoje drzewa
Liście ronią —
Szumy
Złociście się płonią —
Lesie, lesie...
Złotą, cichą dłonią
Jesień
Liście
Strąca...
Słońce lśni złociście, —
Lesie, lesie,
Cały w świetle słońca,
Cały w pysze
Spadających w ciszę
Liści...
Lesie... lesie... lesie...

Aleje drzew odwiecznych buchają płomieniem
Złocistego listowia, — drżą różnym odcieniem:
Lśnią wybuchami miedzi, bledną cieniem złota,
Grają krwią i płomieniem, — jak rdzą przysypane,
Cichną, — — liście lecące lekki powiew miota,
Przechodząc cichą falą, przez ognistą ścianę,
Wybuchającą w niebo płomieni przepychem, —
Lekki powiew cieniste wzrusza korytarze, —
Ze sklepień kapie złoto, — jak westchnieniem cichem,
Lekki powiew tam płynie, gdzie nad stawem straże
Trzymają stare drzewa, nad nim pochylone,
Sypiące płaty złota na wody zielone,
W mroku, od bujnych koron, — od niebios błękitne — —
Pada złoto na wody ciche, aksamitne,
Rozchodzące się w koła bijące o brzegi,
Gdy łabędzie kołyszą swych białych ciał śniegi,
Zadumane głęboko, — pod niebem przeczystem
Padają płaty liści, jak gradem złocistem...

O złote słoneczniki, o kwiaty jesieni,
Odwracające głowy złociste za słońcem,
Które was pieści złotym swych promieni końcem —
Zalewające ziemię złotem swych promieni
Żółte liście na drzewach w żywe złoto mieni...
O złote słoneczniki, płynące za słońcem, —
Kwiaty, — złotych promieni, złote światła gońce, —
O złote słoneczniki, o kwiaty jesieni,
Głów swych zwracacie złoto za światłami słońca, —
Gromado, w świetle złotem, złotem się jarząca, —
Słoneczników złocista, przecicha gromado,
Płyniesz, płyniesz za słońcem, które liści gradom
Nadaje blaski złota, gdy ciche z drzew płyną,
Pod cichą dalą niebios, złocistą i siną...

Człowieku!...

Człowieku, drzemie w twych piersiach straszliwa potęga:
Pierś twoja jest, jako wulkan grożący zniszczeniem,
Jest, jako słońce, co ziemię zalewa jaśnieniem
Promieni światła, — twa wola w głębie ziemi sięga,
Za gwiazdy złote, za słońca twym sięgasz marzeniem, — —
Jak orkan, który swym skrzydłem oceany porze,
Potęgą straszną twe serce, — straszliwszą, jak morze
Wzburzone, twoim okrętom bezsilnem wzburzeniem
Grożące próżno — człowieku — o potęgo — boże!...

Ponadszczytne, granitowe miej szczyty w swej duszy,
Dla tego, co w niej nizkie, bądź, jak fala, co kruszy
Skały brzegów — i zdepcz wszystko, co jasność jej głuszy;
Bądź, jak orzeł, co wzlata w ponadchmurne dziedziny, —
Cóż, że spada w przepaści, swych upadków godziny? —
Z ciemnych głębin się unosi ponad szczytów gęstwą,
Głosząc lotem ponad słońcem wschodzącem zwycięstwo.

Jako pieśń boru i jako pieśń morza,
Pieśń twojej duszy przepełna harmonii
Niech będzie, — jako słońce stojące w zenicie,
Niech będzie pełna światła, — jak nieba bezdroża,
Gdy je o wschodzie złota jutrznia płoni,
Niech piękna będzie, — jako gór w błękicie
Cisza wyniosła, niech będzie wyniosła, —
Jako bogactwo ziemi, niech będzie bogata, — —
Jak orzeł, który ponad szczyty wzlata,
Niechaj wzlata ponad to, na co dzisiaj wzrosła.

Złego niemasz: — jedynie, złem jest jeno — oto:
Czego niemasz, — co braknie, by twa dusza rosła,
Nakształt drzewa, podniebnie, słoneczną tęsknotą.
W jeździe ku oceanom, złem nie jest brak wiosła, —
Lecz gdy ocean wyschnie. Bacz, że złem jest nie to,
Że twoją łódź wraz z falą groza burz uniosła, —
Walcz z nią, — pięknem ta walka. Cisza złem jest, — przeto,
Że gnuśnieje twa ręka i wraz pewność traci,
A twoje piękne ciało, jak bronz, — jak bronz twarde,
Traci blask swój i siłę, — piękno traci zwolna.
Cisza jest złem, — bacz na to, i wraz idź do braci,
Mów im o tem i spraw to, że piękna i wolna
Dusza ich będzie, — właśnie, jak gór szczyty harde.

Jak pyszny kwiat,
Który nie wraca nigdy ten sam
Na świat,
Skroś życia bram, — —
Jak dzwon
Z najszlachetniejszych metali,
Jedyny, —
Bo żaden mu niepodobny, —
Wydaje ton
Osobny,
Jedyny, — —
Jak siny
Miecz
Z błękitnej stali,
Który przecina samą stal, — —
Jak każda rzecz
Rzadka, jedyna,
Niewracająca, —
Jak dzień
I jak ubiegła godzina,
Jak każda z fal
Tysiąca,
Jak błysk i cień
I jak wschód słońca,
Które się z fal
Wychyla, —
Niech będzie
Każda twoja chwila, —
Jako pieśni łabędzie,
Ostatnia i jedyna, —
Każda godzina,
Każde twe dziś
I każde tu,
I wszędzie, —
Niechaj ma piękność snu
I czaru, —
Niech będzie,
Jak najwyższy szczyt
I niech ma światłość daru,
Którym nas słońce darzy,
Niech będzie, jak mit

O życiu bogów,
Niech je przewyższyć się odważy, — —
Nie powracają chwile
W krasie i sile
Jedyne
I jedną masz godzinę
Istnienia,
I jedno życie,
Krótkie, jak oczu mgnienia, —
Jesteś, jak gwiazda w błękicie,
Wśród gwiazd miriadów,
Jesteś meteor jeden, wśród meteorów złotych gradów, —
Są ci podobne
I im
Gwiazdy i słońca,
Jedyne i osobne, —
I kwiatom, które ostrość zim
Z północy idąca
Na zawsze warzy —
O tem szczęśliwsze, im piękniejsze były, —
O tem szczęśliwsze drzewa,
Im więcej pełne kras i siły, —
O tem szczęśliwsze słońce, im więcej światła rozsiewa,
Im więcej światłem darzy
Swe serce, —
O tem szczęśliwsze złociste zbóż
I winnic zielone kobierce,
Im więcej pełne złotych kłosów, im więcej złotego wina kruż
Da bogactwo ich gron, —
O tem szczęśliwszy dzwon,
Im daje wyższy i piękniejszy ton, —
I miecz,
Im silniej tnie, —
I każda, każda rzecz
Przemijająca,
Im jest piękniejsza w blaskach słońca, —
I każda chwila
W życiu, czyli śnie,
Który ku duszy się pochyla,
Jako cud: —
Spływa przepełny słońca gród,

Wyniosły szczyt
Zalany słońcem,
Przychodzi słonecznym gońcem
Przepełny blasków świt,
Spływa — złocisty słońca wschód —
Oto sen,
Oto cud,
Jedyny — ten, —
Innym już będzie drugi, —
Od wyśnionego wczora
Przedział długi,
Przepaść wieczności go dzieli, —
Z jej otchłani,
Z jej ciemnej, bezdennej topieli
Nie wyrwie go już
Nic — —
Oto kwiaty, oto kwiaty —
Bierz wieniec róż,
Uśmiech radości do lic,
Radości wino lej w kruż,
Chwyć tyrs, — w dalekie dąż światy, —
Na słoneczny szczyt,
W przepełny słońca gród,
W przepełny blaskiem świt, —
Dąż w słońca, w słońca, w słońca wschód!...

Ucz się umierać mężnie i poprostu
I, jak wojownik, z tarczą, lub na tarczy
Wracaj do domu, — niechże piękną będzie
Chwila śmierci, — jak przejście nad przepaścią mostu,
Niechże ci serca strachem nie obarczy,
Ni głosu żalu z piersi nie dobędzie.

Śmierć twoja piękną niech będzie i prostą, —
Czyli zwycięzcą będziesz, czy zwyciężą
Cię wrogie moce, — a bacz, by ci dały
Ranę w pierś, — ta niech będzie miarą twoim wzrostom:
Im wróg możniejszy, tem chlubniejsza mężom,
Co walcząc, padli, — ty bądź o to dbały.

Jedno pamiętaj: zginę lub zwyciężę
I nie obaczą wrogi moje sromu
W życiu, czy śmierci, jeśli ją z ich ręki
Przyjdzie mi ponieść kiedy, — miecz mój i pawęże
Zostaną przy mnie, lub na nich do domu
Wrócę niesharbion łzą, alboli jęki.

Jedno pamiętaj: śmierć niech będzie prostą,
Jak prostem życie, — niechaj będzie piękną,
Jak pięknem życie, i jeszcze pamiętaj:
Z drogi się cofnąć nie daj kamieniom i ostom,
Gdy idziesz w szczyty, — a gdy się ulękną
Twoi wrogowie, — puść ich, lecz nię pętaj.

Niech będzie życie i śmierć twoja piękną.

Drogo daleka,
W dal idąca
Szarosrebrzystą wstęgą,
Która ucieka,
W świetle słońca, —
Hen, gdzie szczytów potęgą
Strzelają góry, —
Dumną ciszą,
W chmurne niebios błękity —
Szczytami w chmury,
Które wiszą
Nad tobą, drogo, w szczyty
Idąca — — drogo,
W słońcem złote
Wiedziesz szczyty potężne, —
Czyliż cię zmogą, —
Twą tęsknotę, —
Wiodącą w niebosiężne
Szczyty, — pioruny
Wichry, burze? — —
Czyli słońce zachodzi,
Czy złoci struny
Deszczu, w chmurze
Tonie, czyli też wschodzi, —
Wiedziesz polami,
W ciemne bory
I na płaszczyznę jasną
Wywodzisz, krzami,
Pustką, — pory
Każdej, — gdy gwiazdy gasną
I gdy świtają
Na błękitach, —
Spadasz ku oceanom,
Które śpiewają
Pieśń, na szczytach,
W których się gubisz, powtarzaną...

Pielgrzymie wieczny nieskończonej drogi, —
Śmierć ci ją skończy dopiero — pielgrzymie,
Raduj swe serce życiem, jako czynią bogi, —
Sercu twojemu Radość niech będzie na imię, —
Oczy ciesz światłem i barwami ziemi,
Uszy otwarte miej — jak szumi życie,
Wraz z życiem śpiewaj sercem, niech go nie oniemi
Uciążliwość twej drogi, — stań lekko na szczycie,
Stań z lekkim sercem i lekkiemi nogi, —
Nie dźwigasz brzemion, wolne twoje barki,
Idź dalej, przeszkód niemasz, pierzchły twoje wrogi,
W sercu masz żar i młodość i krok twój tak szparki,
Jak i w czas wyjścia z rzuconego domu, —
Sercu i ziemi, jak dziś, był czas wiosny,
Wezwaniem dla twej duszy był pierwszy głos gromu — —
Huczy i dzisiaj, — słyszysz, jak mu wtórzą sosny,
Buki i dęby, — słyszysz? — to wezwanie —
Huczy i huczy — — idź dalej pielgrzymie:
Wzywa cię odgłos gromu i wichrów zmaganie,
Szum dalekiego morza, szczyty gór olbrzymie —
W odgłosie burzy kwitnące jabłonki
Zadrżały lekko, roniąc kwiatów puchy —
Dalej, pielgrzymie, dalej, — fiołkowe dzwonki
Burzy leją swe wonie — — gromy — — grom — — grom głuchy
Wzywa, — pielgrzymie, dąż dalej swą drogą, — —
Radość miej w sercu i radość miej w duszy, —
Serce, duszę podobne miej dzieciom i bogom, —
Idąc, raduj się kwiatem, którym jabłoń prószy...

Pielgrzymie! —
Pielgrzymie! —
Pielgrzymie,
Który idziesz samotny,
W daleność twoich dróg,
Co idą nieskończone, olbrzymie —
Daleki, nieskończony szlak
Niepowrotny, —
Pielgrzymie,
Który idziesz samotny,
Jak bóg,
Lub jak orzeł —
Królewski, dumny ptak,
Który bezdroże
Błękitu
Potęgą skrzydeł swych porze, —
Ponad szczyt szczytów —
Któż jego drogi zna
I twoje? —
Któż mu nadąży,
Gdy błękitami potęgą skrzydeł gna,
Gdy w chmurach się pogrąży,
Gdy nad chmur kłęby i zwoje
Potęgą skrzydeł się wzbije, —
Czyjeż go dojrzy tam
Oko,
Gdzie jest już sam, —
Jak ty, samotniejszy, niżeli samotny, —
Wyżej, niżeli wysoko, —
Czyjeż go dojrzy tam
Oko,
Czyje? —
Kiedy szybuje ponad chmurami, po niebie,
Albo i ciebie? —
Któż zna jego potęgę, jego samotność i jego radości,
Kiedy jest sam,
W nieskończoności
Swoich dróg? —
Ty jeden i bóg.
Samotną idziesz drogą, —
Sam,

Jedynie z sercem i duszą
Własną, —
Słowo pozdrowień dajesz górskim progom
I oceanom, które skały kruszą
Falami, które w słońcu palą się i gasną,
Mówisz: znam was,
Znam —
I tysiącletnich drzew
Sędziwy las
Pozdrawiasz, idąc przez jego szum
I śpiew,
Przez ciemny, przeliczny tłum
Starych drzew, —
I idziesz dalej i dalej,
Mijając drzewa
I lasy,
Których ogromny, szumny chór,
Potęgi pełen i krasy,
Pieśń wieczną śpiewa, —
Szczyty gór
I oceany, i fale
Mijasz,
I idziesz dalej i dalej,
Jak orzeł, kiedy się wzbija
Wyżej i wyżej, —
Lecący ziemi pobliżem
Mija
Drzewa najwyższe i najwyższe szczyty,
Zaczem popłynie w błękity, —
I stajesz się samotny,
Jak on,
Kiedy płynie w zawrotny
Lot, —
W zwycięski gon,
Jak błyskawica i grzmot, —
W lot,
Do słońca,
Lot
Słonecznego gońca,
Aż tam,
Gdzie słońca

Palą się i świecą, —
Sam,
Samotny
Jesteś, pielgrzymie,
Jak on,
Jak las,
Jak oceany, którym mówisz: — znam
Was — —
Samotny, —
Aż po zgon
Sam, —
Za tobą nikt, — dopiero bracia polecą
W błękity —
Orły na szczyty, —
I ponad szczyty, —
Lotni,
Jak ty, i jak ty samotni:
Samotnością swych dróg
Rzesza
Idąca
Pospiesza
Na szczytów próg, —
Nad szczytów szczyty —
W błękity —
Jako twojej, nikt nie zna ich drogi,
Z której już niemasz powrotu, —
Ani nie zna ich lotu — —
Tłum mnogi
Samotnych,
Jak ty, orłów — królewskich ptaków
Poleci w szlaków
Zawrotnych
Dalekie, nieskończone drogi,
Olbrzymie, —
Jak ty, jak ty,
Pielgrzymie,
Pójdą po słońce
Rzesze idące,
Przez dróg dalekie, olbrzymie
Szlaki, —
Rzesze pielgrzymie —

Królewskie orły — ptaki
Lecące, — —
Na szczytach
Sięgą,
Na chwilę, —
W lotów potędze i sile
Polecą,
Utoną w błękitach,
Gdzie słońca świecą — —
Zdobędą
Słońce...

Noc... lampy elektryczne leją światło wokół, —
Widać w niem czarne szyby dawno śpiących domów
I samotnych kościołów łuków i załomów
Pełne, milczące mury, — i pomnika cokół
Otoczony przez krzewy i barwne kwietniki, —
Lśniącą kolumnę z czarnych, jako noc, marmurów,
Potężną, strzelającą ponad morze murów,
Górującą nad domy, kościoły, pomniki...
Światło lamp elektrycznych ślepiąco aż białe
Leje się strumieniami na bruk i chodniki
Więżące echo kroków całodziennych, krzyki,
Troskę, radość, — przechodniów uczucia przebrzmiałe
Wraz z dniem, który już przeszedł... światło lamp zalewa
Białemi strumieniami liście drzew... ulica
Nurza się w białym świetle: oto nierządnica
Ostatnia, najsmutniejsza tuli się pod drzewa, —
Wieczne więźnie ulicy, — głuche, nieme świadki
Ulicznych zdarzeń, — ślepe... w świetle latarń toną
Mury domów i okna, co czarną zasłoną
Kryją sen i czuwanie... z srebrnej blachy, gładki
Szczyt wieżycy pałaców, zielone grynszpany
Kościelnych wież, kominów las światłem zalany...
Lampy białego światła lejące strumienie, —
W którem tonie milczenie uśpionego miasta, —
Oświetlają kolumnę, co nad nie wyrasta, —
Światło pada bezsilne, gdzie swych stóp kamienie
Na jej szczycie postawił olbrzym, który sięga
Gwiazd złotych wyciągniętą ku niebu prawicą, —
Ledwo widny w ciemności domom i ulicom,
Pełznącym między niemi, — olbrzym — moc — potęga, —
Czuwający nad miastem, skamieniały w ruchu —
Głową wśród słońc — gwiazd złotych — rękę oparł o nie,
Druga ręka ku ziemi, w czarnym mroku tonie, —
Wolna ręka olbrzyma w starganym łańcuchu...

Ołtarz jaśnieje światłem, od jasnych świec mnóstwa, —
Bogate, szczerozłote strzelają kolumny
Pod strop kościoła pyszny, — niebosiężny, dumny, —
Aniołowie radośni obecnością bóstwa
Śpiewają, świętym szałem wszyscy upojeni, —
Święci w swych ciężkich szatach z kamienia, lub złota, —
(Są możni, za zdziałane cuda strojni w wota
Srebrne, złote, bogate w blask drogich kamieni,
Zawieszone rękami ludzi wysłuchanych.)
Błogosławieni, każdy z swą palmą męczeństwa,
Świętym pijani szałem hymn błogosławieństwa
Śpiewają bóstwu społem: w szatach otulanych
Niebieskoszarym dymem wonnego kadzidła,
Na szczerozłotym tronie zasiadł nad ołtarze, —
(O upojone świętych i aniołów twarze!)
Tron bogaty unoszą aniołowe skrzydła, —
Na tronie zasiadł w mocy i radosnej chwale
Bóg — upojone świętych i aniołów lica, —
W jego ręce zamkniętej leży błyskawica,
Usta mówią milczeniem: wzniosę i obalę,
Oczy stwarzają światło, w dymy kadzidlane
Przenikające pękiem złocistych promieni, — —
O aniołowie, święci i błogosławieni,
Świętym pijani szałem, radością szaleni!
Wnętrze kościoła, dymem kadzidła zalane,
Wypełnia ich szalona, nieprzytomna radość, —
Rozeprze mocne ściany, zwali moc kościoła —
Radość ich go rozeprze, — śpiewa, krzyczy, woła,
Świętej miłości bóstwa, szałom czyniąc zadość, —
Wystrzela ponad ściany, płynie tryumfalna,
Odbija się, bijąca w pyszne gmachu stropy,
Zda się porwie owoce, kwiaty, złota snopy
Wiszące na kolumnach, — jak wichura halna
Bije w bogate ściany... w królewskiej purpury
Pysznym przepychu kapłan idzie przed ołtarze,
Nad któremi się chylą aniołowe twarze,
Błogosławionych, świętych, męczenników chóry, —
Kapłan wznosi krew bożą w kielichu, do góry —
Pochyliły się głowy pobożnych do ziemi,
Chór aniołów i świętych nagle się oniemił,
Zmilkły błogosławionych rozśpiewane chóry...

Cały kościół kadzidłem i mirrą zalany —
Cisza — o jakże ciężka — gniotące milczenie —
Złoty kielich z krwią bożą — od kadzideł cienie — —
O jakimż strasznym bólem buchnęły organy,
Jakże się żalą skrzypce, jakże płaczą śpiewy...
O ból, o ból — jak straszny, nieopowiedziany —
Czyli to płaczą burzą bite oceany,
Czyli to płacze ziemia, przez gradów ulewy
Chłostana przestraszliwie, — liście w zawierusze
Jesiennej z drzew lecące, mrące żółte liście —
Może to liście szumią, może płaczą drzewa,
Że z liści obdzierane?... — nie, to ból swój śpiewa
Boża krew w szczerozłotym kielichu, ogniście
Lśniącym w promieniach słońca, — płaczą ludzkie dusze, —
Ból swój, ból swój straszliwy... a szczyty olbrzymie
Za oknami, za miastem w słońcu, w słońcu... — rącze
Wstrzymaj, na chwilę, kroki, — idziesz, idziesz, gończe, —
Idziesz, dokąd?... — do słońca... — pielgrzymie! pielgrzymie!...

— *Dokąd idziesz?— — na szczyty.— —wstrzymaj się wędrowcze,—*
Widzę cię, że sam idziesz, — gdzie są twoje siostry,
Gdzie bracia twoi?— — spojrzyj, — widzisz ten szczyt ostry?—
Stoi samotny, — chmury, jako runie owcze,
Białe, — wieńczą mu czoło, — to jest brat mój właśnie,
Chmury to siostry moje, — innych nie znam wcale, —
Widzisz słońce w błękicie, w złotej światła chwale, —
Czujesz ziemię pod stopą, — mówią stare baśnie,
Że to rodzice nasi, — czyż nie mówią prawdy?—
Tak, to moi rodzice, — ta ziemia i słońce,
Z zenitu niebios, teraz światło miotające, —
Mówi mi to ma dusza, serce, — dziś i zawdy... — —
— *O wstrzymaj się, nie odchodź, — rzucasz mnie dla drogi, —*
Więc idziesz tak samotny i nie masz nikogo, —
Czyż nie masz kogo z ludzi?— — nie, sam idę drogą, —
Któż dziś ze mną?— — a jutro?— — widzisz gór tych progi, —
Zaprowadzą mnie w szczyty, — któż tam pójdzie ze mną?—
Że chcę wieść na zawrotne szczyty gór, to: — zbrodniu —
Mówią do mnie, — ty może powiesz to, przechodniu, —
Żegnaj mi, idę w szczyty, tam słońce, — tu — ciemno...

Drzewa, drzewa idące ulicami miasta, —
Drzewa, — czyli idziecie wraz ze mną za mury
Ciężkie, nieme, gniotące? — idziecie tam, — w góry
Wystrzelające w słońce, tam?... las szczytów wzrasta, —
Las szczytów strzela w słońce, — las szczytów potężny, — —
Słoneczne za murami ciągną się równiny, —
Za równiami, na góry wspina się las siny,
Las starych drzew, — nad niemi szczytów niebosiężnych,
Samotnych, nagich sterczą podsłoneczne igły — —
Tam, tam, wraz ze mną drzewa, — za mury, za mury!...
Samotnych szczytów czoła wieńczą srebrne chmury, —
Orzeł wzniósł się ponad nie lotem skrzydeł śmigłych — —
Tam, tam, wraz ze mną drzewa... żegnam was, nad szczyty,
Nad chmury, ponad orła niebosiężne loty,
W blask słońca, który oczy orłom ślepi, — złoty —
Nad chmury, ponad orła, w słoneczne błękity, —
Żegnam was, drzewa, żegnam... idę ponad szczyty...

O ileż wschodów i zachodów słońca
Widziało mnie spieszącego, mą drogą bez końca, —
Ileż gwiazd nowych w niebios oceanie, —
Ileż fal w morzu wzniosło się i spadło,
Do stóp podniebnych skał w srebrzystej pianie, —
Ile gwiazd złotych, ile słońc pobladło, —
Ile dni przeszło i nocy gwiaździstych,
Siejących gwiazdy, by liści złocistych
Z drzew spadające cicho, ciche płaty,
Jesienią złotą, która gasi kwiaty,
Zmieniając w pyszne złoto ziemi szaty, — —
A nie powrócą już dni, które minęły,
Jak nie powrócą kwiaty, co zasnęły
Pod zimną, cichych szronów powłoką, —
Nie wrócą dni, które zapadły głęboko
W otchłanie
Ciemnej, nieprzebytej wieczności, —
I nie powróci słońce, które zapadło w oceanie,
To samo jutro, w niebios nieskończoności, —
Nie wróci —
Słuchaj, jak fala ciche skargi nuci, —
Przyjdź jutro, na morza brzegi
I słuchaj, słuchaj, co mówią fal ciemne szeregi: —
Powiedzą ci co innego, a tamta pieśń nie powróci,
Nie wróci —
Nigdy — —
A ja, przechodzień wieczności, —
Pielgrzym samotny mej drogi, wiodącej bez końca,
Do słońca,
Idę z jednem pragnieniem w duszy, —
Wiecznem, —
Z jednem pragnieniem w sercu, —
Jedynem —
I patrzę, widzę, jak w nieskończoności
Gwiazda, za gwiazdą się kruszy, —
Sam z swem pragnieniem słonecznem
Idę i widzę, jak na złocistem kobiercu,
Tkanem ze złotych gwiazd, w przestworzu sinem,
Gwiazdy się palą nowe —
Złote, sine, różowe — —
A idę sam, sam z mojem pragnieniem wiecznem

I jedynem
W całej nieskończoności, —
Ja, przechodzień wieczności
Idę...

Oto wchodzę na jeden ze szczytów
Tej drogi, którą przebyć mam, —
Wdzieram się w sferę błękitów,
Na igłę wieży
Koronującej ziemi chram — —
Serce me bije
Uczuciem przymierzy
Z królami ptaków —
Orłami, —
Potęgą szczytów,
Płynąc w ocean błękitów,
Żyję — —
Podążam lekkim krokiem,
Mijając tłumy krzaków
Pnącej kosodrzewiny, —
Oddycham błękitami, —
W przestwór błękitów,
Złoty i siny
Podążam,
Lekkim krokiem, —
Pierś mi rozpiera
Czysta błękitów radość — —
Mijam ukryty w szczeliny
Ostatni kwiat,
Żyjący w zimnem świetle słońca,
W nieruchomych błękitach, —
Nagą podążam drogą,
Śniegami idę i lodem, —
Daleko zostali ludzie,
Drzewa i krzewy
I kwiaty, —
Podemną — —
Nad moją głową brzmią śpiewy
Cichych błękitów, —
Ciche i uroczyste, — —
Lody złociste
I śniegi,
Pod moją nogą, —
Gdzież brzegi,
Gdzież brzegi
Oceanu błękitów,

W których się pogrążam, —
Sam
Na iglicy szczytów,
Wpatrzony w potężne słońce...

Oto się wzbijam i płynę,
Przez błękitów dziedzinę
Bezkresną, —
Potęgą skrzydeł rozcinam
Nieskończoną godzinę,
Która mi nie jest późną, ani wczesną, —
Która jest wiecznem dziś, —
Godzinę
Wieczną — — —
Oto płynę, oto płynę
Potęgą skrzydeł,
Potęgą
Krwi serdeczną, —
Ramiona — skrzydła się sprzęgą —
Wzbijam się —
Hyżej i hyżej, —
Wyżej, wyżej, wyżej —
Wzbijam się
Hyżo,
W słońce, —
Meteory lecące
Stopy mi liżą, —
Widzę, jak gasną,
Ponad gwiazdą mą własną,
Nad ziemią,
Z której płynę,
W błękitów dziedzinę
Bezkresną, nieskończoną,
Daleką, daleką, —
Wieczną, —
Widzę, jak przez jej łono
Płyną, —
Dziedziną
Błękitną, —
Światy nieprzeliczone,
Niejedną drogą mleczną,
I kwitną
Gwiazdy:
Błękitne,
Złote i purpurowe,
Zielone,

Białe, —
Widzę, jak wykwitają nowe,
Jak gasną
Omdlałe, —
Na krótkość chwili
Światłem, jasno
Wybuchające, —
Gasną,
Jak kwiaty,
Światy,
Które w ciemność chyli,
Co czas, co mgnienie
Przeznaczenie — — —
Płynę, płynę
W słońce, —
Potęgą moich skrzydeł rozcinam ciemność błękitną,
W której kwitną
Gwiazdy nieprzeliczone — — —
Płynę, płynę
Przez nieskończone
Dziedziny —
Przestwór błękitem siny,
Złoty od gwiazd,
Od światów,
Niby od złotych gniazd,
Z których spadają ptaki — meteory,
U moich stóp, —
Nad ziemią, —
Jedną z miriadów gwiazd,
Nad gwiazdą moją własną
Gasnące, —
Widzę je, jak lecą, płoną i gasną — — —
Płynę, płynę,
Przez błękitów dziedzinę,
W słońce —
Płynę —
Radością lot moje piersi rozpiera, —
Skrzydła potęgi —
Moce
Prężą —
Płynę —

Przez niebios błękitne łęgi,
Droga nieskończoności przede mną rozwiera, —
Wieczności gwiaździste noce, — —
Ramiona — skrzydła się tężą — —
Przez błękitów dziedzinę,
W słońce
Płynę, płynę, płynę...

O Prometeju zwycięski, zadałeś Zeusowi
Klęski straszliwe — — — Pioruny miotane twą dłonią,
Boże Zeusie straszliwy, on dłonią swą łowi, —
Twe gromy gasną bezsilne, bez szkody, nad skronią
Jego zwycięską, strojoną w przebujne kędziory, —
Krucze, zwijane w przemnogie, bogate pierścienie, — —
Łańcuchów mocne na nogach i rękach zawory
Potargał silną swą dłonią, — zwyciężył cierpienie
Zesłane, Zeusie, przez ciebie, — twój orzeł na skały
Uciekł spłoszony i do nóg mu pełen bojaźni
Zaraz przyleciał, pokorny, — Prometej wspaniały
Idzie górskiemi szczytami, — gór, lasów i głaźni
Przed nim pierzchnęli bogowie, przed tron twój, o panie,
Królu Olimpu i władco wspaniały niebiosów,
Ziemi i morza, — ty słyszysz, o Zeusie, błaganie
Trwogi i żalu przepełne, — o Zeusie, ich głosów
Ciężar na serce twe pada, — o Zeusie, straszliwy
Boże Olimpu, Prometej podąża wspaniały, —
Chmurami orły ponad nim, a za nim lwów grzywy
Pysznią się złotem, — Prometej podąża przez skały,
Do których moc go przykuła twa niegdyś, w łańcuchy
Skrępowanego, — tak długo łańcuchy więziły
Jego potęgę, a dzisiaj je stargał, jak kruchy,
Uschły pręt trzciny, — Prometej potęgi i siły
Pełny, zwycięski, — napróżno twe miotasz pioruny, —
Idzie Prometej zwycięski, o Zeusie! — radosny,
Młody Prometej potężny, — błyskawic twych łuny
Nie są mu straszne bynajmniej, — potęgą radosny,
Półbóg zwycięski, by skruszyć w twem ręku pioruny,
Idzie na Olimp, — twe berło i tron twój pokruszy, —
Nie straszne są mu twe gniewy, nie cofną go z drogi
Błyski twych oczu straszliwych i nic go nie wzruszy — —
Zbliża się, zbliża Prometej, o Zeusie! bez trwogi
Do tronu, Zeusie, twojego się zbliża — o bogi!...

Istotną treścią duszy ludzkiej jest bohaterstwo, choćby najbardziej ukryte, niby w potężne drzewo mający wyrosnąć pęd dębu, dziś zduszony prawie przez chwasty, czekające z trwogą zimnych podmuchów północnego wiatru, który przyniesie mróz, darzący je śmiercią. — Bohaterstwo. — Oto pierwiastek boski w sercu człowieka, — prawdziwe piękno. — Nikły pęd, który wyrośnie wspaniałym pniem, — wyrzuci szeroko konary w niebiosa, do słońca. Gdzież są badyle chwastów, które go głuszyły? — Człowiek posiada go w swej duszy. — Dlatego tak bardzo brzydzi się każdym objawem brzydoty, — słabości, nazywając je złem. — Wszystko to jest brzydkiem, słabością, tchórzostwem, — taką jest każda zbrodnia. — Ten pierwiastek boski, to nadzieja, to wiosna, za którą przyjdzie wspaniałe, słoneczne lato, darzące złotym dojrzewaniem i złocista jesień, — przyniesie boską radość i upojenie gron purpurowych i złotych jrzałego wina.

ARISTOS.

Człowiek dąży do tego, aby stał się bogiem. I jakkolwiek od dnia, który jest dzisiaj, daleką jest godzina narodzin boga w jego sercu, — niemniej ta godzina i jej dzień przyjdą tak niemylnie, jak przychodzi zakwitnienie pysznego kwiatu róży z nikłego pączka, tak ukrytego pośród liści, że przechodzień, spoglądający na pyszny krzew, próżno poszukuje przyszłego kwiatu; a przecież, że tak ukryty i nikły, — kwiat niemniej będzie królewski i piękny i niemniej wonny i bogaty w barwne płatki... tak i godzina, o której mówię, — godzina narodzin boga w sercu człowieka, że tak oddalona od dzisiaj i tak mało dziś przeczuwana, — że tych, którzy mówią o jej przyjściu, ludzie nazywają marzycielami, a wiarę w jej przyjście marzeniem, — — tak i ta godzina przeto, że jest oddalona, niemniej będzie wspaniała i królewska.

KALA.

Że tak często słyszałam miano marzyciel dawane tym, którzy podobnie tobie, w tej pięknej chwili, mówią, — sama do teraz sądziłam to, co mówią, tylko pięknem marzeniem.

ARISTOS.

Ludzie sądzą marzenie urojeniem, a często myślą o niem, jak o szkodliwem dla szczęśliwej teraźniejszości, i walczą z niem, — gdy ono jest tylko przeczuciem królewskiego dnia, który ma przyjść, a ci, którzy o nim śpiewają są samotnymi wędrownikami wiecznej do niego drogi.

KALA.

Jednak teraz, kiedy przez słowa twoje, myślę o tem, — widzę, że ludzie dostrzegają prawdziwość marzenia...

ARISTOS.

Tak, lecz w chwili jego narodzin mało jest tych, którzy ją widzą, inni, których jest większość, — wszyscy dostrzegają jego prawdziwość dopiero wówczas, gdy ono, w słonecznym blasku, stanie się pysznem drzewem, o potężnych konarach i podniebnej, gwiazd sięgającej koronie.

KALA.

I wówczas idą za tym, który śpiewa słoneczność marzenia, —

ARISTOS.

Za tym, który, idąc dalej, rzucił błogosławiącym ruchem ziarno w ziemię.

KALA.

Wierzą w nie.

ARISTOS.

Ci najpierwsi oddają mu swoje dusze i serca i poświęcają mu życie. Inni, ci, którzy przychodzą później, chociaż nie tak ofiarni, są ślepi i głusi dlań i ani słyszą, ani widzą, że może sam ten, który ich obdarzył wspaniałym darem swojego marzenia, poszedł już dalej po swojej drodze, a jego bracia rzucają im nowe, bogatsze i świetniejsze dary swoich królewskich marzeń.

KALA.

Tak, to prawda, — nie widzą, lub boją się przyjąć je.

ARISTOS.

Tak, odrzucają je z trwogą i z trwogą myślą, by im nie odebrano dawnego, jakby poza niem była tylko nicość.

KALA.

Zwiastunami upadku nazywają Odkrywców, — nie wierzą w istnienie nowych ziem...

ARISTOS.

Gdy stara stała się bezpłodną, a bujne i wspaniałe niegdyś drzewo ich marzenia nie wydaje już owoców krzepiących dusze, ani wonnych kwiatów, — gdy nowe, młode drzewa marzeń bujnie się zielenią i wydają już kwiaty, ukrywające wśród swych pysznych płatków przyszłe owoce. I wówczas to zjawiają się ci, którzy burzą stare świątynie i bracia ich, — ci, którzy budują nowe, — wędrownicy wiecznych dróg, prowadzących w oczekiwany dzień, który przyjdzie niemylnie.

KALA.

Mówisz o tych czasach, gdy człowiek stanie się bogiem, — on dający sobie sam miano tworzyciela bogów?

ARISTOS.

Stworzy sam siebie, — on, który tworzy siebie od dnia swoich

narodzin. Lecz powiedziałaś o nim: tworzyciel bogów, — nie można tego z całą słusznością twierdzić: — bogowie żyli, lecz pomarli, zwyciężeni w walce z człowiekiem. I dziś mrą jeszcze.

KALA.

Mówisz o pięknych bogach Grecyi?

ARISTOS.

Nie tylko o nich, — mówię o bogach wogóle. Mit o Prometeuszu nie jest tylko mitem. A Prometeusz, przykuty niegdyś do gór Kaukazu, żyje i jest człowiekiem, — on, który stworzył nie tylko pięknych synów Grecyi, — lecz wszystkich ludzi. Zresztą wiedziano o nim nie tylko w Grecyi, która jedna wydała najpiękniejsze i najbliższe prawdy mity o nim.

KALA.

Lecz historya nic nam o tem nie mówi, aby znano i czczono Prometeusza gdzieindziej, — poza Grecyą.

ARISTOS.

Jednak wiedziano o nim, jakkolwiek dawano mu inne imię i opowiadano o nim inaczej. Jedni tylko Grecy, obdarzeni tak bogato od Natury, — duchowo najwięcej wolni, zdolni go byli zrozumieć, i dlatego ich podania o Prometeuszu są najczystsze, będące zarazem najpiękniejszemi. Inne narody, o duchu więcej niewolniczym, skaziły ten cudowny mit, bo niezrozumiały, — nie były zdolne zrozumieć półboga, który stworzył ludzi.

KALA.

Jakie?

ARISTOS.

Kain to Prometeusz, który zszedł między ludzi, — przeklęto go i zohydzono kłamliwemi wieściami; — Lucifer, to ten sam Prometeusz, — posłano go do piekieł, choć jest on najbardziej synem światła... Prometeusz — życie jego jest walką z bogami zazdrosnemi i nielitościwemi. Lecz Prometeusz zerwał pęta i wolny zszedł z gór Kaukazu. A gdy zwycięży bogów, wówczas sam stanie się bogiem, lecz niepodobnym w niczem do zwyciężonych, — silnym, zwycięskim, darzącym bogiem, gdy tamci byli słabi, choć byli bogami; — czuli to sami, gdy go skuli i nasłali nań sępa, wydzierającego mu wiecznie żywe serce.

KALA.

Jednak...

ARISTOS.

O co pragniesz pytać, droga przyjaciółko?

KALA.

Chciałam poznać zupełnie twoje piękne marzenie o człowieku, który stanie się bogiem, — mów mi o nim.

ARISTOS.

Nazywasz moje marzenie pięknem, — jest niemniej prawdziwem przeczuciem przyszłości, jak inne marzenia, jego bracia, — błądzące po oceanie okręty, szukające nowych światów i znajdujące je, — cudowne bajki, które się spełniły i spełniają jeszcze.

KALA.

Mówisz o bajkach...

ARISTOS.

O tych pięknych i śmiesznie niemożliwych bajkach, jak ta choćby, że ludzie podbiją niedostępną im dziedzinę powietrza.

KALA.

Tak, ta...

ARISTOS.

I inne, niemniej piękne i śmieszne, i niemożliwe.

KALA.

Lecz twoje marzenie?

ARISTOS.

Jest przeczuciem przyszłości, bo posłuchaj tylko. — Jesteśmy bogami w stosunku do otaczającego nas życia roślinnego i zwierzęcego, — wprawdzie nie tyle stwarzającymi, ile niszczącymi je bogami.

KALA.

Niszczącymi tak, lecz stwarzającymi?

ARISTOS.

Stwarzamy nowe drzewa, czy rośliny, pyszniejsze niż sama Natura, wytwarzamy gatunki zwierząt, przedtem nieznane.

KALA.

Tak, lecz czynimy to dla siebie, a więc, aby je niszczyć...

ARISTOS.

Dlatego powiedziałem, że jesteśmy bogami więcej niszczącymi, niż stwarzającymi. I jesteśmy nimi, — bogami w stosunku do pierwszego człowieka, który byłby równie wobec nas bezsilnym, jak otaczające nas życie.

KALA.

Był niemowlęciem, — gdy my jesteśmy...

ARISTOS.

Dziećmi bogów, a staniemy się nimi samymi.

KALA.

Lecz powiedziałeś, że jesteśmy dziś jeszcze nie tyle stwarzającymi, ile niszczącymi, — czyżbyśmy mieli być kiedyś tylko stwarzającymi?

ARISTOS.

Stanowczo, tak. Dziś jesteśmy jeszcze w wysokim stopniu nieprzyjaciółmi życia, — dlatego tylko, że nie jesteśmy jeszcze dość silni, a więc dość bogaci, — abyśmy mogli tylko stwarzać.

KALA.

Lecz życie nas otaczające, wszak tylko dlatego jest tak pysznem i bujnem, że wzrasta wśród wiecznych walk i zapasów, — sądziłam, że to prawo stosuje się i do nas, — do ludzi.

ARISTOS.

Dzisiaj, jeszcze tak. Lecz widziałaś, że człowiek, równie jak otaczające nas życie, syn ziemi i słońca, wyzwala się z pod ciężkich praw, które Natura rzuciła na życie, oddala się od nich, a równocześnie zbliża się do boga darzącego i bogatego, jak sama Natura tworząca i stwarzająca. Dziś jesteśmy w porównaniu z tem, czem byliśmy, potężni i bogaci, — z tem, czem będziemy, nędzni i słabi. Byliśmy niewolnikami Natury, a nasze życie było tylko walką o chleb powszedni i walką ze śmiercią grożącą nam z każdej strony, od życia, które nas otaczało, — walczyliśmy jeszcze bezradni z trującemi roślinami i z państwem silniejszych od nas królewskich zwierząt, wspaniałych drapieżników, i groźnych, bo nieznanych, niedostrzegalnych

dla nas jeszcze drobnoustrojów. Lecz walka nasza była nieustającem zwycięstwem i wyzwalaniem się, — stawaliśmy się panami Natury i burzycielami życia.

KALA.

Wszak nie tylko z otaczającym nas życiem walczymy, — walczymy z sobą...

ARISTOS.

Powtórzę ci jeszcze, — przeto, że jesteśmy jeszcze niedość silni i niedość jeszcze wolni.

KALA.

Lecz wróćmy do twojego marzenia.

ARISTOS.

Walkę, którą było całe nasze życie, ułatwiliśmy sobie i zdobywaliśmy sobie coraz więcej czasu na próżnowanie, z którego rodzą się rzeczy boskie.

KALA.

Zadziwiasz mnie...

ARISTOS.

Tylko bogaty może próżnować dobrze, to znaczy bez szkody dla siebie. Z próżnowania zrodziły się rzeczy boskie, to znaczy sztuka, mądrość i wszystko, co nie jest zdobywaniem powszedniego chleba. Ideał próżnowania żyje w sercu człowieka, czy zwierzęcia, — panem jego jest dopiero bóg. Wszelka twórczość z niego pochodzi, — wszelka, nie tylko ludzka: z niego rodzi się śpiew ptaków i ich podniebny, pyszny lot do słońca, i radość z jego światła i ciepła w sercach zwierząt i owadów, igrających w niem złocistemi rojami. W niem nadmiar sił i mocy wybucha złotą radością.

KALA.

Tak... tak... mów dalej.

ARISTOS.

Stajemy się coraz silniejsi i bogatsi, coraz wolniejsi i będziemy nimi stokroć więcej. Wzrastający nadmiar sił pozwoli nam obdarzać. Darzyć i stwarzać.

KALA.

Tylko stwarzać?

ARISTOS.

Czemu wątpisz? — W przyszłości nikt nie będzie patrzał na życie, jako pożyteczne, nie będzie obliczał jego wartości, jak tylko bujnością i radością, jaka się w niem mieści.

KALA.

Lecz musi podtrzymywać swe życie?

ARISTOS.

Nie będąc zmuszony zawsze zabierać życia komuś. Dziś nie znamy jeszcze, a nawet w marzeniu nie zbliżamy się do poznania środków, jakich w tym celu będzie używał przyszły człowiek.

KALA.

Myślisz...

ARISTOS.

Dziś, stanowczo nic nie możemy jeszcze o tem powiedzieć. Nasza nieświadomość nie wyklucza przecież bynajmniej, ani powinna, — nie może zachwiać naszej pewności, co do tego, że tak będzie.

KALA.

Tak. Lecz, gdy życie nieniszczone zacznie zalewać człowieka?

ARISTOS.

Ludzie zdobędą nowe, dziewicze obszary ziemi, pustynie zamienią na pyszne ogrody i winnice, zdobędą dla życia jeziora śmierci, osuszą bagniska, a wreszcie zwycięscy zaczną wydzierać ziemię morzu i oceanom, nie niszcząc ich życia, — choć zmienią je zapewne. Ziemia cała będzie jednym, przepysznym ogrodem potężnych drzew, wspaniałych krzewów, — dziś nieznanych, nieporównanych kwiatów. Człowiek zniszczone przez siebie samego życie na nowo stworzy i uczyni je wspanialszem i bujniejszem, niż w pierwszych dniach jego dziewiczego istnienia na ziemi.

KALA.

Mówisz o życiu roślinnem, lecz zwierzęta, — zwierzęta groźne dla człowieka, — drapieżniki, wszak zostaną zniszczone dużo wcześniej?

ARISTOS.

Drapieżniki? — tak. Ale mówię to z żalem, gdyż potężne drapieżniki, których straszliwy ryk napełniał serce człowieka śmiertelnem przerażeniem, w pełne grozy, zapadające złym mrokiem noce pierwszych dni istnienia, — wspaniałe, królewskie lwy, o złotych grzywach, straszliwe tygrysy nie byłyby straszne dla przyszłego człowieka, aniby mu szkodziły. Moc ich byłaby dla niego radością.

KALA.

Będzie i wtedy miał swych wrogów, groźniejszych jeszcze.

ARISTOS.

Mówisz o siłach Natury? — on je pokona i ujarzmi, — burze i huragany i straszliwe wichry, palące swym gorącym oddechem i zimne wichry północy.

KALA.

A słońce? — niedosięgłe słońce? — ono jedno zostanie niepokonanym przez Prometeusza bogiem.

ARISTOS.

Nawet słońce. Będzie czerpał z niego niewyzyskiwane tak długo jego ciepło i światło i uczyni je swymi sługami. Zwycięży ziemię i ocean, podbije dziedziny atmosfery i stanie się niezależnym od niszczących sił żywiołów, wreszcie zwycięży słońce. Swojej potęgi dziś nawet on sam nie przeczuwa, zakreślając sobie szczupłe, nawet w marzeniu zbyt szczupłe granice. Tajemnice, których panami stać się jest najśmielszem marzeniem ludzkiem, znać będą dzieci. Dziś idziemy wśród ciemności, potykając się, co chwila, o nieznane przeszkody, — on będzie szedł w jasnym świetle słońca.

KALA.

Cóż mogę ci powiedzieć na to wszystko, co mówisz? — jestem, jakby olśniona od nagłej błyskawicy, która dała mi ujrzeć nieznane, nieprzeczuwane wśród ciemności rzeczy. Wierzę, że mówiła mi ona prawdę, — widziałam ją.

ARISTOS.

Nie zapominaj o niej i nie przestawaj wierzyć, że prawdą nie są ciemności, lecz to, co ukazała błyskawica, oświetlająca je na krótką, na zbyt krótką może chwilę, abyśmy mogli zobaczyć więcej. Każde marzenie to taka błyskawica, ukazująca ciemnościom daleko mniej bogactw, niż ich ukaże słońce, które jutro przyjdzie.

KALA.

Przebacz mi, lecz uważałam to, co mówiłeś, tylko za marzenie i nie myślałam, by go można było brać tak dosłownie. Teraz widzę...

ARISTOS.

Widzisz, że niema w tem, co ci mówiłem niedorzeczności. — Choć największe niedorzeczności dla dziś, nie będą niemi dla jutra, — — i dlatego, gdyby mi kto powiedział, że to, co mówię, jest nieprawdą, uczułbym tylko w sercu radość, że moja prawda nie jest dla dziś, lecz dla jutra.

KALA.

Twoje słowa obudziły w mojej duszy jakiś cudowny obraz, którego nie umiem zamienić na słowa... czuję, że gdybyśmy nie byli tu, pośród tych drzew kwitnących, ciemnemi alejami idących w cichą słoneczność zapadającego wieczoru, — czuję, że mogłabym ci go opowiedzieć muzyką... gdybyś znał moje uczucia, drogi mój przyjacielu...

ARISTOS.

Dzięki, dzięki ci.

KALA.

Lecz mów mi jeszcze, — człowiek — bóg...

ARISTOS.

Będzie wolnym, silnym, bogatym, darzącym, — nie będzie deptał życia, lecz je stwarzał, nie będzie nienawidził życia, lecz będzie niem radował swoje serce i duszę. Sam będzie silnym i pięknym bogiem, kochającym życie. Tylko bóg może kochać życie i stwarzać je, z wiecznej potrzeby serca, potrzeby nieśmiertelnej boga, — obdarzania szczęściem. Lecz czemu cień smutku padł na słodką twarz twoją?

KALA.

Nazywasz obdarzaniem szczęściem, — darzenie życiem, — gdy ludzie, mędrcy smutku nazywają je cierpieniem i przeklinają, zowiąc śmierć chwilą wyzwolenia. Gdyby oni mówili prawdę?

ARISTOS.

Życie, ten najwspanialszy z boskich darów, jest szczęściem. Tak, jest szczęściem i dlatego wszystkie istnienia tak je kochają, — bynajmniej nie z trwogi, jaką by mogła budzić tajemnica śmierci, lecz dla niego samego, — dla wartości, jaką w sobie mieści. Nie wiemy, czy zwierzęta mają jaką, choćby niejasną świadomość możliwości swojej śmierci, lecz znamy swoje serca: ludzie widzą umierających nawet swych najbliższych, cierpią nad ich śmiercią i opłakują ich, lecz niemniej sami nie wyobrażają sobie, nie uświadamiają możliwości swej śmierci, zanim ona przyjdzie, — a gdy już wszyscy otaczający nie wierzą w możliwość utrzymania ich przy życiu, — oni nawet i wteay, do ostatniej swej chwili, nie tracą nadziei.

KALA.

Prawdą jest, co mówisz, — widziałam starców na łożu śmierci, mówiących z radosnym i szczęśliwym uśmiechem o swoim wyzdrowieniu, gdy ktoś, nie chcąc ich zasmucać, mówił im o tej możliwości.

ARISTOS.

Życie jest szczęściem, — każde, nawet najmniejsze i najsłabsze nawet istnienie, ma swoje wspaniałe wzloty szczęścia, o którem ludzie nie mogą mieć pojęcia, mierząc je miarą swojego szczęścia i swoich radości. A jeśli prawdą jest twierdzenie mędrców, że wszechświat to nieskończona i nienaruszona harmonia, — niemniej prawdą jest, że życie jest radością i szczęściem. I jako takie...

KALA.

Jest darem bogów.

ARISTOS.

Tak, darem bogów. I bogiem darzącym niem będzie człowiek.

KALA.

A więc cudowny ogród raju jest przed nami?

ARISTOS.

Nigdy za nami, — gdy człowiek otoczony przez wrogów i sam wróg wszelkiego życia i największy jego niszczyciel, stał najniżej w swoim rozwoju, — życie było nie rajem, lecz czemś straszliwem. Człowiek stający się silniejszym, w miarę wzrastającej mocy, był coraz mniej niszczycielski, a wreszcie...

KALA.

Nie będzie zgoła zabijał, — lecz jeszcze życiem obdarzał.

ARISTOS.

Tak. — Raj przed nami, — cudowny ogród bogactwa życia, a w nim pełny radości i siły, młody i piękny człowiek —

KALA.

Bóg, — syn nieba i ziemi, boskich rodziców bogów i życia.

ARISTOS.

Słoneczny bóg. Mędrzec i artysta o przepełnionem boską radością sercu. My dzisiaj zaledwie przeczuwać możemy upojenie, jakie będzie udziałem jego serca. Radość, którą dziś pali się życie i serca ludzi, jest nikłym płomykiem zapomnianej lampy wobec wspaniałego światła wschodzącego słońca, — wobec radości, którą zapali się serce człowieka. Radość wybuchnie płomieniem królewskiej purpury, zaleje pożarem ziemię. Zaś najwięcej obdarzonym i darzącym nią będzie bóg — człowiek. I wtedy jeszcze nie umrze w nim Prometeusz, który wiecznie dąży ponad siebie, — nieskończone są drogi prowadzące do słonecznych szczytów, a ponad najsłoneczniejsze dziś, słoneczniejsze znajdziemy jutro.

KALA.

Słoneczniejsze znajdziemy jutro.

ARISTOS.

Znam twoje uczucia, droga i jedyna moja przyjaciółko. — O dzięki, dzięki ci. — Mówiłaś mi o muzyce, — patrz, oto otacza nas życie, pyszne, bujne, bogate... słuchaj, jak, w zachodzącem słońcu, brzęczą roje złocistych owadów, — szumią pszczoły obarczone słodkim ciężarem miodu, wracające do ula... pyszne kwiaty, których nazwy nie znam, płonią się wspaniałym

szkarłatem płatków, w ostatnich promieniach słońca, zapadającego wolno za zielonosine grzbiety gór... patrz, pada na nie ciemny, niebieski cień... słońce zaszło... a patrz, nad pyszne korony buków i klonów zdobnych w wycinany liść wschodzi wczesny, wiosenny, pełny, złoty księżyc... a życie szumi... Mówiłaś o muzyce, — oto życie przed nami.

KALA.

Księżyc cicho płynie po jasnym błękicie nieba... słuchaj... słuchaj... gdy ziemia będzie martwa... gdy życie zginie... człowiek?...

ARISTOS.

Patrz, oto pierwsze gwiazdy... Czyż wędrówka na gwiazdy nie może być prawdą, — jakkolwiek dziś uważają ją najśmielsi za fantazyę tylko? Tęsknota do dalekich, nieznanych światów, która wykwita mistycznym kwiatem w sercu ludzkiem, — może się kiedyś spełnić. I może kiedyś, skazane na powolną zagładę zwierzęta i rośliny oglądać będą odlatujących, w gasnącym dniu, bogów, lecących na odległe gwiazdy...

KALA.

A jeżeli ziemia zdruzgotana przez zbłąkaną gwiazdę i wraz z nią ogarnięta pożarem, jako ocean płomieni, spadnie na słońce?

ARISTOS.

Zgon jego będzie zgonem boga, nad którym panuje przeznaczenie, — pięknym, jak było życie. Śmierć jego będzie piękną śmiercią mędrca, który wie, że jest cząstką nieśmiertelnego i nieskończonego wszechświata i sam jest nieśmiertelny, jak nieśmiertelnem jest życie.

KALA.

O Aristos!...

[illegible]

KALA

[illegible]

ARISTOS

[illegible]

KALA

[illegible]

ARISTOS

[illegible]

KALA

O Aristosi...